

P.D. Baccalario, A. Galli

NA TROPIE
SENSACJI



Skradziony obraz

WYDAWNICTWO FIELONA S.A.

P.D. Baccalario, A. Gatti

NA TROPIE
SENSACJI

Skradziony obraz

WYDAWNICTWO FIDELON S.A.

MKS

Pierdomenico Baccalario Alessandro Gatti

Skradziony obraz

Wiosna jeszcze nie nadeszła i na ulicach Paryża utrzymywał się przenikliwy i wilgotny chłód. Była dopiero szósta wieczorem, ale niebo zrobiło się już ciemne i nikt się nie przechadzał ulicami.

Także zaułek Woltera, kręta uliczka w sercu dzielnicy Marais, był całkowicie opustoszały. Nikt zatem nie mógł zauważyć wąziutkich promieni światła przechodzących przez zamknięte okiennice na pierwszym piętrze kamienicy pod numerem 11. A właśnie tam skrywała się jedna z wielu tajemnic Paryża: mieszkanie najślynniejszego detektywa w historii tego miasta, Gustawa Darbona. W swoim testamencie ekscentryczny śledczy pozostawił lokal do dyspozycji każdego detektywa, któremu będzie on potrzebny jako baza w prowadzonym dochodzeniu. Teraz, po wielu długich latach, detektywi wreszcie się pojawili - od kilku miesięcy tydzień w tydzień w każdy czwartek wieczorem przychodzili z różnych mieszkań kamienicy i zajmowali miejsca wokół wielkiego drewnianego stołu w legendarnym zielonym gabinecie, kiedyś oficjalnym miejscu rozmyślań wielkiego Darbona. Wcale nie było trudno zwołać współników na zebranie: wystarczyło przebiegłe puszczenie oka, jedno słówko albo znaczące chrząknięcie we właściwym momencie. Wszyscy detektywi mieszkali w tej samej kamienicy i mieli pozazdrosczenia godną smykałkę do rozwiązywania tajemnic.

Tego jednak wieczoru zebranie detektywów-amatorów z zaułka Woltera nagle utknęło w martwym punkcie. W półmroku zielonego gabinetu można było odczuć duszącą nudę. Pani Jaśmina nieobecny wzrokiem wpatrywała się we wskazówki wiszącego na ścianie zegara, ziewając od czasu do czasu; listonosz Wiktor powoli, jakby był zmęczony, stukał palcami lewej ręki w blat stołu.

Po jednym z tłumionych ziewnięć mecenas Janvier (zwany Białym Gołębiem ze względu na siwe, lekko kręcone włosy), najślynniejszy specjalista prawa karnego w Paryżu i

od niedawna emeryt, popatrzył z resztką nadziei na srebrną paterę, która stała na stoliku w rogu pokoju.

- Tarta z lukrowanymi gruszkami już się skończyła, prawda? - w jego głosie dało się słyszeć nutę smutku.

- Pokrojona, rozdzielona i wymieciona... - potwierdził Leon, młody muzyk, który mieszkał na ostatnim piętrze na poddaszu.

Usypiające zebranie - Mecenas Janvier z westchnieniem opadł na oparcie krzesła.

Walentyna, piękna dziennikarka, żona nadkomisarza policji Ernesta Gaillarda, matka Nikoli i Simona, postanowiła podjąć próbę i ożywić nieco atmosferę. Zwróciła się do córki:

- Nikolo - zapytała energicznie. - Nie zapisałaś ostatnio czegoś ważnego? Podejrzane zdarzenia, ewentualne sprawy do rozwikłania... Pokaż nam swój notes!

Dziewczyna przytaknęła, ale raczej bez przekonania.

- Tak, coś mam, ale chyba nic porywającego...

- Wszystko będzie lepsze niż... to - odpowiedziała Walentyna, rozglądając się dookoła.

Pojawienie się na scenie nieodłącznego czerwonego notesu Nikoli wyraźnie wszystkich zainteresowało. Tylko Simon, którego często nazywali w skrócie „Sim”, oparł łokieć na stole i ułożył na nim głowę, wpatrując się w ścianę, jak ktoś, kto myślami jest bardzo daleko stąd.

Nikola rzuciła mu upominające spojrzenie i zaczęła czytać swoje zapiski:

- Notatka z 24 lutego: podejrzany mężczyzna w ciemnej koszuli widziany w pobliżu kamienicy przez trzy dni z rzędu. Zbadać.

- Stop! Śledztwo zablokowane, młoda panno! - wykrzyknął natychmiast Wiktor

Cormolles swoim tradycyjnie sarkastycznym tonem. - Tę tajemnicę rozwiążę dla ciebie w trzy

sekundy: „podejrzany w ciemnej koszuli” to mój kuzyn Bernard. Czyści piece i od kilku dni naprawia instalację grzewczą w naszej kamienicy.

- Człowiek od piecyków... Co za rozczarowanie! - skomentował syn pani Jaśminy, ale dzięki temu okazało się przynajmniej, że jeszcze nie drzemie.

- No, dziewczyno - zachęcił Nikołą mecenas Janvier. - Wydobądź z tego notesu coś apetycznego.

Nikola przewróciła szybko kilka kartek.

- O, to już coś - powiedziała. - Jest sprawa Pierniczka, kota pani Rampier z drugiego piętra...

- Znowu ten tłusty futrzak! - mruknął listonosz. - A co mu się przytrafiło tym razem?

- Ktoś go pomalował na jaskrawoniebiesko - odpowiedziała Nikola. - Jego właścicielka jest wściekła i powiedziała, że jeśli złapie winowajcę, to...

Opowieść dziewczyny przerwał głośny śmiech mecenasa Ferdynanda Janviera.

- Co pana tak rozbawiło? - zapytała Walentyna, zdziwiona reakcją adwokata.

- Zaraz wyjaśnię, pani Gaillard! - odpowiedział Biały Gołąb. - Tak się składa, że kilka dni temu widziałem kogoś uzbrojonego w dwa spreje z farbą w tym kolorze na naszym podwórku...

Stary książę sali sądowej w milczeniu mierzył wzrokiem po wszystkich uczestnikach zebrania, aż zatrzymał się na Leonie.

Chłopak nagle wyprostował się i wytrzeszczył oczy.

- Ja... Ja nie... To było... - usiłował zaprzeczyć, ale winę miał wymalowaną na twarzy.

Rozdział pierwszy

- nej koszuli” to mój kuzyn Bernard. Czyści piece i od kilku dni naprawia instalację grzewczą w naszej kamienicy.

- Człowiek od piecyków... Co za rozczarowanie! - skomentował syn pani Jaśminy, ale dzięki temu okazało się przynajmniej, że jeszcze nie drzemie.

- No, dziewczyno - zachęcił Nikołę mecenas Janvier. - Wydobądź z tego notesu coś apetycznego.

Nikoła przewróciła szybko kilka kartek.

- O, to już coś - powiedziała. - Jest sprawa Pierniczka, kota pani Rampier z drugiego piętra...

- Znowu ten tłusty futrzak! - mruknął listonosz. - A co mu się przytrafiło tym razem?

- Ktoś go pomalował na jaskrawoniebiesko - odpowiedziała Nikoła. - Jego właścicielka jest wściekła i powiedziała, że jeśli złapie winowajcę, to...

Opowieść dziewczyny przerwał głośny śmiech mecenasa Ferdynanda Janviera.

- Co pana tak rozbawiło? - zapytała Walentyna, zdziwiona reakcją adwokata.

- Zaraz wyjaśnię, pani Gaillard! - odpowiedział Biały Gołąb. - Tak się składa, że kilka dni temu widziałem kogoś uzbrojonego w dwa spreje z farbą w tym kolorze na naszym podwórku...

Stary księżę sali sądowej w milczeniu mierzył wzrokiem po wszystkich uczestnikach zebrania, aż zatrzymał się na Leonie.

Chłopak nagle wyprostował się i wytrzeszczył oczy.

- Ja... Ja nie... To było... - usiłował zaprzeczyć, ale winę miał wymalowaną na twarzy.

Usypiające zebranie

- LEON! - krzyknęła zaskoczona Nikoła. - Myślałam, że lubisz zwierzęta!

- Ja je uwielbiam! Ale to nie była moja wina. Pierniczek przebiegł dokładnie przede mną, kiedy malowałem moją deskorolkę, i...

Mecenas Janvier wyobraził sobie, jak to mogło wyglądać, i po raz drugi wybuchnął

gromkim śmiechem, którym od razu zaraził pozostałych.

- Cóż, nie znaleźliśmy żadnej fascynującej tajemnicy, ale przynajmniej było wesoło - skomentowała pani Jaśmina, zabierając paterę po swojej tarcie.

Simon natomiast tego wieczoru szybował myślami gdzieś po niebie, bo nawet nie zauważył, dlaczego wszyscy się śmieją. - Kończymy już to nudne zebranie? Idziemy? - ograniczył się do pytania.

- Jeśli nikt nie ma punktu wyjścia do jakiegoś śledztwa, to rzeczywiście, moim zdaniem możemy zamknąć posiedzenie - powiedziała Walentyna, rozkładając rękę.

Nastał moment ciszy, w której detektywi z zaułka Woltera wymieniali pełne wątpliwości spojrzenia.

Zaczęto powoli odsuwać krzesła od stołu, kiedy syn pani Jaśminy powiedział nagle:

- Zaczekajcie, proszę, jeszcze chwilę - podrapał się po czole.

Wiktor westchnął i usiadł ponownie na krześle, a inni poszli w jego ślady.

- No, dawaj! - zachęcił Leon.

Było jasne, że tak naprawdę wszyscy mieli wielką ochotę zostać jeszcze chwilę w zielonym gabinecie i pofantazjować na temat ewentualnych kryminalnych zagadek.

To by wyjaśniało, dlaczego w mgnieniu oka usiedli z powrotem przy stole i wlepili wzrok w syna pani Jaśminy.

- Zatem... przysłała mi do głowy sprawa, o której usłyszałem kilka dni temu... - zaczął antykwariusz.

- Kiedy? - zapytał listonosz.

- A jakie to ma znaczenie, Cormolles? Daj mu skończyć! - zainterweniował Biały Gołąb.

- Dziękuję, mecenasie. Otóż byłem w restauracji U Cédrica i zbieg okoliczności

chciał, że spotkałem Henryka Parillauda, znanego marszanda z ulicy Rivoli. Marszand to ktoś, kto handluje dziełami sztuki, na przykład obrazami albo rzeźbami - tłumaczył, patrząc na Nikolę i Simona, na wypadek gdyby nie znali tego słowa. - Byliśmy kolegami w szkole, ale od wielu lat się nie widzieliśmy, dlatego postanowiliśmy, że zjemy razem obiad i powspominamy stare czasy. Zamówiliśmy zatem pieczeń wołową z młodymi cebulami duszonymi w białym winie - coś pysznego...

W tym momencie, jak można było przewidzieć, Wiktor stracił resztki cierpliwości:

- Aaaach! - uniósł się. - Ludwik! Co nas u licha obchodzi, że akurat to zamówiliście do jedzenia?

Adwokat Janvier, od zawsze przyzwyczajony do stawiania czoła „gorącym” sytuacjom w sądzie, ponownie zabrał głos.

- Ehm... Może w istocie byłoby lepiej, gdyby przeszedł pan już do sedna sprawy, drogi Ludwiku - powiedział uprzejmie. - Choć przyznam, że cebulki w winie przyrządzane przez starego Cedrica są doprawdy wyśmienite! - dodał z lekkim błyskiem w oku. Na szczęście syn pani Jaśminy był spokojnym człowiekiem, który nie wdawał się w spory. Poza tym zdążył się już przyzwyczać do charakteru listonosza.

- Podczas obiadu - podjął wątek - Parillaud opowiedział mi o bardzo dziwnym wydarzeniu, które dopiero co mu się przytrafiło. Nie jestem tylko pewny, czy kryje się za tym jakaś wielka tajemnica...

- Niech pan opowiada dalej, wszyscy zamieniamy się w słuch - zachęciła go miłym głosem Walentyna.

Ludwik zaczerwienił się tak, że jego twarz na parę sekund przybrała kolor czerwonej papryki. Kiedy w końcu oderwał wzrok od pani Gaillard, podjął na nowo temat:

- Historia jest dość banalna. Parillaud ma magazyn w XII dzielnicy. To budynek z wszystkimi najnowocześniejszymi systemami zabezpieczeń i licznymi kamerami, gdzie mój znajomy przechowuje wiele obrazów i rzeźb, które potem są wystawiane na sprzedaż w jego galerii. A teraz przechodzę do rzeczy: w nocy ktoś włamał się do tego magazynu.

- Ojej! - skomentowała Nikola. - To podejrzana sprawa?

- Właśnie! W tym tkwi coś dziwnego: magazyn był wypełniony cennymi obrazami, a tymczasem w wyniku kontroli, którą po kradzieży przeprowadził Parillaud, okazało się, że jedynym przedmiotem, jaki zniknął, był niewielki portret o znikomej wartości!

- Hmm... - wymamrotał Wiktor, drapiąc się po głowie. - Więc mówi pan, że złodziej był wystarczająco zdolny i przebiegły, żeby dostać się do tego superstrzeżonego miejsca, zaś potem popełnił niebywały błąd, zabierając jakiś bohomas warty kilka miedziaków?

- Dokładnie. Wydaje się, że tak właśnie było.

- Dziwne.

- Bardzo dziwne!

- Jak to wyjaśnić?

- Złodziej takiej klasy zwykle zna się na swoim faWokół starego stołu Darbona zaroilo się od komentarzy. Znajome napięcie znowu zagościło w pomieszczeniu.

Oczy Nikoli błysnęły. chu!

Usypiające zebranie -

- „Mały, trudny do wyjaśnienia szczegół” - oto, jak prawie zawsze zaczyna się wielkie śledztwo.

Jej współnicy detektywi uśmiechnęli się: rozpoznali te słowa. Było to jedno ze zdań wypowiedzianych przez Kinga Ellertona, detektywa i bohatera kryminałów, których zagorzałymi czytelnikami byli wszyscy zgromadzeni w tym pokoju. Na końcu każdej

opowieści była Tajemnica Miesiąca - skomplikowana sprawa kryminalna, a mieszkańcy zaułka Woltera już od pewnego czasu łączyli wysiłki, próbując rozwiązać którąś z zagadek i wygrać wspaniałą pozłacaną lupę z inicjałami Kinga Ellertona.

- Hmm... - mecenas Javier pogładził swoje białe jak śnieg wąsy i zamyślił się. - Nikola ma rację! - powiedział wreszcie. - To zdarzenie, z pozoru mało znaczącej może kryć coś... smakowitego!

- Teraz mamy więc w garści coś w rodzaju tajemnicy, ale co z tym zrobimy? - zapytał Leon.

- Nic - odpowiedziała jak zwykle pogodna Walentyna Gaillard.

- Jak to: nic?

- Nic, ponieważ nadszedł czas przygotowywania kolacji! - powiedziała, wskazując stary zegar ścienny w głębi pokoju. - Ale teraz mamy nad czym myśleć.

- Tak, ale...

- Może pan Ludwik mógłby zapytać swojego przyjaciela o więcej szczegółów na temat kradzieży, tak żebyśmy wiedzieli o wszystkim na bieżąco.

- Oczywiście, że mógłbym... Chciałem powiedzieć... oczywiście, że mogę! Zapytam jeszcze dziś wieczorem! - zapewnił syn pani Jaśminy ośmielony tą prośbą.

- Doskonale! - powiedział mecenas Janvier.

- No dobra - mruknął listonosz.

I gdy tylko podjęli decyzję o działaniu, czwartkowe zebranie zostało zamknięte.

Jeszcze tylko jedno zdanie słyhać było tego wieczoru w starym gabinecie, którego ściany były pokryte tkaniną koloru liści szaławii, a wypowiedziała je Nikola Gaillard:

- Sim, leniwcu jeden, wstawaj! Zebranie się skończyło!

Następnego ranka Nikolę zaskoczył budzik, który zadzwonił o trzy kwadranse

wcześniej niż zwykle, i zobaczyła, jak jej brat Simon podąża do łazienki i wcale nie narzeka, że wstaje o tej porze.

Ona natomiast przekręciła się na drugi bok i pomyślała, że koniec końców jest jeszcze zbyt wcześnie, żeby opuszczać ciepłe łóżko.

Leżała pod kołdrą, nie udało się jej jednak ponownie zasnąć, na co miała nadzieję. W myślach wracała do historii, którą usłyszała poprzedniego wieczoru w zielonym gabinecie, tej o trudnej do wyjaśnienia „pomyłkowej” kradzieży obrazu. Jak to się mogło stać? Naprawdę złodziejowi mogła przydarzyć się taka wpadka? A jeśli tak nie było, to co naprawdę wydarzyło się w tym magazynie? Cała lista pytań i odpowiedzi przewijała jej się przez głowę.

- I tak już po spaniu - powiedziała sobie w końcu Nikola, odrzuciła kołdrę, a stopami zaczęła poszukiwać miękkich kapci w kształcie królików. Gdy tylko wystawiła nos z pokoju, czekała na nią kolejna niespodzianka: Simon wyszedł właśnie w pośpiechu z łazienki w swojej znieawidzonej niebieskiej koszulce, którą mama kazała mu zakładać na odwiedziny u krewnych, bo, jak mówiła, jest modna. Widać było, że się uczesał, i, jak można było poczuć, wylał na siebie pół flakonika wody po goleniu taty. Nikola przyglądała mu się z niedowierzaniem.

- Wychodzę! - zawołał chłopiec. - Dziś jadę autobusem, bo muszę, ehm, być w szkole wcześniej. Cześć! - Simon już nic więcej nie powiedział, tylko zniknął w drzwiach.

Zdumiona Nikola spojrzała teraz na matkę, która właśnie wyszła z kuchni.

- Mamo? Ty też widziałaś to co ja? - zapytała dziewczyna, nie mogąc wyjść z podziwu.

Walentyna uśmiechnęła się.

- Tak, moja droga, widziałam wszystko.

- I nie dziwi cię to?!

- Wcale a wcale, Nikolo.

- Zatem coś musiało mi umknąć...

- Powiedzmy, że brakuje ci jednego elementu, żeby odgadnąć wszystko.

- Już od samego rana mówisz jak King Ellerton!

Walentyna znowu się uśmiechnęła.

- Kiedy przyjdiesz na śniadanie, też wszystko zrozumiesz - poradziła córce.

W stronę Dalekiego Wschodu

Nikola skierowała się w stronę kuchni. Mama dała jej znak, żeby podeszła za nią w

kierunku okna, i delikatnie chuchnęła na szybę. Na zewnątrz było zimno, więc szyba

zaparowała, odsłaniając malutkie serce narysowane palcem. Tuż pod nim drukowanymi

literami było napisane „SANDRA”.

Nikola od razu rozpoznała pismo brata.

- Simon to zrobił wczoraj, kiedy gotowałam. Myślał, że nic nie widzę... - wyjaśniła

Walentyna.

- Ale przed tobą nic się nie ukryje, prawda? - zachichotała córka, siadając przy stole, na którym czekał już na nią kubek kakao.

- Przypominam, że to wy chcieliście, żebym została detektywem! - rzuciła mama z uśmiechem.

Tak naprawdę Nikola i Simon nie mieli wyjścia, kiedy matka przyłapała ich

wracających z jednego z potajemnych zebrań w mieszkaniu Darbona. Detektywi musieli ją przyjąć do klubu, aby nie powiedziała o niczym mężowi.

Nagle wszystko stało się dla Nikoli jasne.

- Ależ oczywiście, Sandra! - wykrzyknęła po pierwszym łyku kakao. - Nowa

dziewczyna, która przyszła do klasy Simona, ta, która przyjechała z Marsylii. On i jego

koledzy od kilku dni nie mówią o nikim innym.

- Czyli młoda marsylka podbiła młode serca - skomentowała Walentyna, kiwając głową.

- Jakie tam od razu „podbiła”... - obruszyła się Nikola. - Tylko ci chłopcy są tak mało rozgarnięci! Przyjeżdża nowa, robi słodkie oczy, a oni zachowują się jak cielęta i wpatrują się w nią cały czas.

Walentyna zrozumiała, że weszła na szkolne pole minowe, więc naląła sobie kawy i postanowiła zmienić temat.

Od kilku dni komisarza Gaillarda nie było w domu, bo prowadził ważne śledztwo poza miastem, zatem Walentyna i Nikola mogły zjeść spokojne śniadanie, rozmawiając i planując popołudniowe zakupy. Kiedy skończyły jeść, bez pośpiechu się spakowały i wyszły z domu.

W stronę Dalekiego Wschodu - Walentyna spojrzała na zegarek: było jeszcze dość wcześnie. Zaulek Woltera spowijała gęsta mgła, ale żółtawe światelko, które się przez nią przebijało, było znakiem, że antykwariat Ludwika już otwarte. Walentyna miała na końcu języka propozycję, kiedy córka ją uprzedziła.

- Może małe poranne zaktualizowanie informacji? - zapytała Nikola, wskazując dłonią oświetloną witrynę sklepu.

- Doskonały pomysł!

Syn pani Jaśminy był rannym ptaszkiem; Nikola i jej mama zastały go, gdy zabierał się do malowania starej drewnianej szuflady.

Kiedy tylko podniósł głowę i zobaczył Walentynę Gaillard, młody antykwariusz wstał gwałtownie, przejeżdżając pędzlem - zamiast po szufladzie - po rękawie swojej tweedowej marynarki.

- Och... Dzień dobry, pani Gaillard... Walentyno! Nikolo! - pospiesznie je przywitał, chowając za plecami umazany farbą rękaw.

- Proszę nam wybaczyć najście, panie Ludwiku - powiedziała Walentyna - ale Nikola i ja wyszliśmy dziś wcześniej z domu i kiedy zobaczyliśmy, że u pana już się świeci, postanowiliśmy wejść i zapytać, czy są jakieś nowe wiadomości o magazynie Parillauda.

- Bardzo dobrze zrobiliście! - odpowiedział rozpromieniony młodzieniec.

- A więc? Są jakieś nowości? - ponagliła go Nikola.

- Myślę, że nic nadzwyczajnego. Tylko kilka szczegółów. Wczoraj, kiedy do niego zadzwoniłem, Parillaud powiedział mi, że obraz był zatytułowany Dziewczyna w czerwonym czepku. Płótno szkoły flamandzkiej z XVII wieku, ale ten skradziony był jedynie kopią oryginału, zresztą raczej mało udaną.,

- I potwierdził, że nie chodzi o drogocenne malowidło?

- Dokładnie. To był przedmiot warty najwyżej kilkaset euro. Ale powiedział mi też, jak ten obraz znalazł się u niego: był częścią prywatnych zbiorów, które zostały w całości zakupione przez znanego japońskiego kolekcjonera...

- O rany! - zawołała Nikola, której informacja omiłośnika sztuki pochodzącym z Dalekiego Wschodu wydała się wzięta wprost ze stron książki o Kingu Ellertonie.

- Obrazy znajdowały się tam wszystkie razem, ponieważ następnego dnia miały być załadowane na samolot i przetransportowane do Tokio.

- I pan Parillaud zrealizował transakcję? Nawet mimo kradzieży? - zapytała Walentyna.

- Zapytałem go o to. A on odpowiedział, że tak. Wysyłka miała jeden dzień opóźnienia, ale temu bogatemu Japończykowi, panu Fuji, nie zależało wcale na tym obrazku. Inne części kolekcji interesowały go dużo bardziej.

- Zatem marszand nie poniósł szkody na tym włamaniu? - zapytała Nikola.

- Cóż, i tak, i nie.

- Co znaczy: tak i nie?

- Parillaud powiedział, że ulżyło mu, kiedy interes z panem Fuji się udał, ale oczywiście taka kradzież z jego magazynu nie jest zbyt dobrą reklamą.

W stronę Dalekiego Wschodu -

- To prawda - myślała głośno Walentyna. - Włamanie to także szkoda dla wizerunku.

- Kto powierza prestiżowej galerii cenne dzieło sztuki, ten chce być pewny, że jest ono bezpieczne. Tymczasem teraz w środowisku wszyscy wiedzą, że w magazynie Parillauda było włamanie!

- A czy pana znajomy zastanawia się nad żądaniem odszkodowania od firmy, która montowała mu systemy bezpieczeństwa?

- Nie zapytałem go o to, ale miałyby to sens.

Oczy Nikoli zaświeciły się.

- Wiecie, co wam powiem? Myślę, że mamy już jakiś trop!

Syn pani Jaśminy przytaknął.

- Też tak myślę... I co teraz robimy?

Odpowiedziała Walentyna Gaillard:

- Może pan zorganizować spotkanie z Parillaudem? Na przykład proszę mu powiedzieć, że przygotowuję materiał do gazety o jego pracy. W ten sposób dowiemy się, co się dzieje w jego galerii.

- Ależ oczywiście. Proszę to już uważać za załatwione, pani Gaillard. Muszę tylko wiedzieć kiedy.

- Najlepiej byłoby jutro, jeśli to możliwe. Trzeba kuć żelazo, póki gorące.

- Ma pani zupełną rację. Proszę więc niczego nie planować na jutrzejsze popołudnie!

Nikoła klasnęła w dłonie. Po długim okresie zastoju maszyna detektywistyczna z zaułka Woltera znowu zaczynała się kręcić!

Teraz jednak zegarek mówił, że najwyższa pora udać się do szkoły. Nikoła i jej mama pożegnały się i skierowały do wyjścia.

W progu sklepu Walentyna zatrzymała się jeszcze na chwilę.

- Byłabym zapomniała: na plamę z farby olejnej najlepsze są soda i sok z cytryny!

Młody antykwariusz spojrzał na nią, jakby właśnie wypowiedziała do niego zdanie po marsjańsku.

- Tak, panie Ludwiku, pana rękaw! - wyjaśniła.

Twarz młodego antykwariusza przybrała kolor piwonii, a on sam wybełkotał jakieś podziękowania Walentynie, która zdążyła już zniknąć w paryskiej mgle.

Następnego dnia poranna ucieczka wyperfumowanego Simona się powtórzyła - dokładna kopia tego, co było dzień wcześniej.

- Sandra wciąż rządzi... - powiedziały do siebie rozbawione panie.

- Z niczego ci się nie zwierzył?

- Ani słowem - potwierdziła dziewczyna. - Milczy jak grób. A jeśli tylko o tym napomknę, sroży się jak jeżozwierz.

- To typowe dla chłopców.

Niedługo potem pożegnały się: pani Gaillard pojechała do redakcji swojej gazety (czekała ją okrutnie nudna narada i przemówienie nowego dyrektora, co zapowiadało obfitość ziewania), a Nikoła do szkoły.

Dzień minął Nikoli błyskawicznie. Simon okazał się bardziej utalentowany od najlepszego przestępcy, bo nie było go widać nigdzie na żadnej przerwie. Dlatego po ostatniej

lekcji, z języka francuskiego na temat Cyrana de Bergeraca, wracała sama pieszo, przechodząc pod arkadami na placu Vosges. Była tak pogrążona w myślach, że nie usłyszała klaksonu samochodu, który trąbił kilka kroków od niej.

Dopiero kiedy w końcu ktoś krzyknął na całe gar-

- Halo, halo! Nikolo! Czy mnie słyszysz? - dziewczyna odwróciła się w stronę ulicy, która biegła dookoła pięknego placu.

Mama machała do niej z okna jakiegoś starego, jasnobieżowego citroena, przyczajonego na brzegu chodnika niczym drapieźnik z metalu.

- Mama! - zawołała Nikola, trochę zdziwiona, a trochę rozbawiona. - Co tu robisz?

- Chcieliśmy zabrać cię ze szkoły, ale... przyjechaliśmy za późno.

- Chcieliśmy?

Nikola spojrzała przez szybę, napotykając zakłopotany wzrok syna pani Jaśminy, trzymającego nerwowo obiema rękami kierownicę.

- Wskakuj do środka, no już! - zawołała ją matka. - Musimy jechać do galerii pana Parillauda!

Syn pani Jaśminy męczył się chwilę z drążkiem skrzyni biegów, zanim wrzucił wsteczny, i po cichu powiedział „przepraszam”. Potem odwrócił głowę i zaczął cofać.

Citroën 2CV wjechał na asfaltowy pierścień ronda dookoła placu Vosges. Ludwik przejechał kawałek dłu:

Wielka sztuka ulicą Lyon i skręcił zdecydowanie, zgodnie z drogowskazem, w kierunku XII dzielnicy. Nagle gwałtownie zahamował. Przed citroenem stał długi jak okiem sięgnąć potok lśniących samochodów.

- Chyba jednak to nie był najlepszy pomysł, żeby jechać przez centrum - westchnęła

Walentyna. - Ale mamy przynajmniej czas, żeby jeszcze raz powtórzyć plan.

- A to już jest jakiś plan? - zapytała Nikola.

- Och, tak, bardzo prosty: ja będę dziennikarką. Wy natomiast rozglądajcie się dookoła

- zaśmiała się mama dziewczyny. Spojrzała na zegarek. - Pod warunkiem oczywiście, że tam dojedziemy.

- Paryż to Paryż! - powiedział poważnie syn pani Jaśminy i zatrąbił, w nadziei, że dzięki temu przejedzie kilka metrów do przodu.

Dwadzieścia minut później citroen przejechał przez bramę magazynu Parillauda. Była to stara hala przemysłowa, w której w połowie urządzono salę wystaw i pokazów, zaś w pozostałej części znajdował się depozyt dzieł sztuki. Brama otwierała się na szeroki plac, wilgotny od opadającej mgły, otoczony z dwóch stron wysokimi ścianami z wąskimi oknami. Ludwik wrzucił jedynkę i jechał przez plac, poszukując innych samochodów, obok których mógłby zaparkować. W końcu zauważył jakiś, podjechał bliżej i opuścił szybę, żeby zapytać jedyną osobę, którą akurat zobaczył:

- Mogę zostawić tu auto?

- Czy pan oszalał?! - odpowiedział mu pytaniem nieznajomy.

- Słucham?

- Nie widzi pan, gdzie się pan znajduje?

Ludwik rozejrzał się dookoła: widział tylko zamglony plac, czerwony samochód i białe linie parkingowe namalowane na asfalcie.

Jedno z miejsc było oznaczone ogromnym, trudnym do rozszyfrowania czerwonym plastikowym znakiem „X”. Ale ponieważ człowiek okazywał już swoje zniecierpliwienie, Ludwik zaczął się zastanawiać.

- Więc to nie jest parking? - zapytał.

- Oczywiście, że to nie jest parking! - odpowiedział mu tamten. - To słynna instalacja

zewnątrzna Josha Finkelberga zatytułowana Metro odmienione. Naprawdę nie poznał jej pan?

- Ach tak... Jak mogłem nie zauważyć! - zmitygował się Ludwik, szybko wrzucając

wsteczny bieg. - Kto by nie rozpoznał Finkelberga?

Nikola i jej mama wymieniły porozumiewawcze uśmiechy, tymczasem Citroen jechał

do tyłu i bzyczał jak wielki owad, który zgubił się we mgle. Nagle syn pani Jaśminy

zahamował i zatrzymał samochód tuż przed ścianą. Zaczął kręcić, żeby podnieść opuszczoną szybę, i mruknął:

- Miejmy nadzieję, że te wielkie pojemniki na śmieci obok to nie jakieś inne dzieło

Finkelberga! A teraz chodźmy porozmawiać z moim kolegą! O, widzę go, stoi tam... - dodał,

wskazując korpu Wielka sztuka lentnego mężczyznę z głową gładką niczym kula bilardowa.

Rozmawiał z grupką swoich pracowników i gestykulował nerwowo.

Kiedy pan Parillaud ich zauważył, od razu do nich pomachał. Po chwili dał znać na

palcach lewej dłoni, żeby poczekali trzy minuty, i wrócił do rozmowy, którą prowadził

podniesionym głosem.

Troje detektywów z zaułka Woltera nie mogło nie usłyszeć niektórych jej

fragmentów.

- Nie interesuje mnie, gdzie się podziewa ten szalony artysta Finkelberg! Dzisiaj jest

konferencja prasowa! Wernisaż zaczyna się o osiemnastej i chcę, żeby on punktualnie o

osiemnastej wysiadł z samochodu i porozmawiał z dziennikarzami! Po tym wszystkim, co się

stało... brakuje jeszcze tylko fochów artysty. A teraz muszę was przeprosić...

- Parillaud!

- Ludwik! Co za niespodzianka!

Przywitali się mocnym uściskiem dłoni.

- Gratuluję! - ciągnął dalej marszand. - Nie wiedziałem, że masz już taką córę! O, jest

i żona... Jakże mi miło!

Ludwik, czerwony jak burak, starał się powstrzymać całą tę przemowę przyjaciela:

- Zaczekaj, Parillaud... Nie... To nie tak... Chcę powiedzieć, że... To pani Gaillard, dziennikarka, o której ci wspominałem. A to jest Nikola, jej córka.

Pani Gaillard zaśmiała się, jak zresztą i Nikola.

- Och! - westchnął pan Parillaud. - A już myślałem, że dobry stary Ludwik postanowił się ustatkować... Pewnie wciąż mieszkasz w tym samym domu i objadasz się doskonałymi ciastami imbirowymi twojej matki, co? A właśnie: czy nadal piecze te imbirowe pyszno...

Telefon zadzwonił w kieszeni marszanda, który nagle przerwał swoje wspomnienia o wypiekach.

- Przepraszam was na moment.

Pan Parillaud odszedł pół kroku na bok i zaczął rozmawiać przez telefon, zmieniając przy tym ton głosu oraz język.

- Walentyno... Niech mi pani wierzy... - zaczął przeproszać Ludwik. - Jest mi tak głupio, ja...

- Proszę się nie przejmować, to się zdarza.

- W jakim on języku mówi? To chiński? - zapytała tymczasem Nikola, która nie mogła oderwać wzroku od marszanda.

- O, już wraca.

- Jeszcze raz przepraszam...

- Niech pan już o tym nie myśli, Ludwiku. Musimy porozmawiać z pana przyjacielem.

- Wybaczcie mi. Ale... Jak możecie sobie wyobrazić... - westchnął Parillaud. - Zawsze musi się coś wydarzyć...

- Właśnie o tym chcieliśmy z tobą porozmawiać - wtrącił się Ludwik.

Marszand spochmurniał na chwilę i zawołał do telefonu:

- Słucham? Może pan zadzwonić później? - po czym zaczął przyglądać się trójce, która stała przed nim. - Masz na myśli ten skradziony obrazek?

Wielka sztuka

- W rzeczy samej.

- Czy rzeczywiście był to taki zwyczajny portret? - zapytała Walentyna.

- Nie był wart nawet tyle co farby, których użyto do jego namalowania.

- I nie przychodzi panu do głowy, dlaczego...?

- Sam zadawałem sobie to pytanie. Ale nie rozumiem, dlaczego o tym rozmawiam z paniami... Chcę powiedzieć, że Ludwika znam od dawien dawna, jednak...

Walentyna wyciągnęła rękę, chcąc przerwać mu na chwilę. Przy okazji w powietrzu rozszedł się zapach jej perfum.

- Doskonale pana rozumiem. Nikt nie jest szczęśliwy, kiedy musi przyznać, że złodziejowi udało się wejść do jego lokalu, gdzie była przechowywana cenna kolekcja. A dodatkowo, jeśli naprawdę zabrał z sobą obraz tak niewiele wart, to raczej trudno oczekiwać, iż policji będzie aż tak bardzo zależało na ujęciu sprawcy.

- Istotnie, nie mam wielkich nadziei. Ani że złapią złodzieja, ani że odzyskają portret.

- Zgadza się pan zatem ze mną... - kontynuowała Walentyna - że to, co się tu wydarzyło, to prawdopodobnie... jak by to powiedzieć... jakaś prowokacja?

Marszand pogładził się po łysinie i pokiwał głową.

- Taka wiadomość w mojej gazecie nazywa się „sól i pieprz”. Określamy w ten sposób krótką informację, często dość absurdalną, ale idealną do wypełnienia wolnego miejsca w kronice z wydarzeniami. Jest zabawna, rozśmiesza czytelników i można jej nadać dziwny tytuł, na przykład: „Złodziej niezauważony przez kamery przemysłowe znika z nic niewartym

obrazem”.

Ludwik o mało nie parsknął śmiechem. ‘

- A co to znaczy dla pana, panie Parillaud? - ciągnęła swój wywód Walentyna. - To jasne, że pana galeria nie wypadnie w dobrym świetle... Co więcej, wiadomość pewnie już się ukazała w kilku gazetach, czyli kiepska reklama jest zagwarantowana.

Parillaud zacisnął zęby.

- Przeklęty Lavigny! - wycedził.

- Kto? - zapytała jednocześnie cała trójka.

- Czy mogłaby pani coś zrobić? - zapytał marszand, pozostawiając ich pytanie bez odpowiedzi. - Może udałoby się napisać jakiś artykuł, w którym moja galeria nie byłaby przedstawiona w niekorzystnym świetle?

- Nie mogę niczego obiecać, ale... Może pan zacząć od opowiedzenia mi dokładnie, co się wydarzyło, i od pokazania magazynu.

Pan Parillaud zdecydowanym ruchem ręki wskazał drogę i powiedział:

- Ależ oczywiście! Proszę za mną!

Walentyna spojrzała na córkę, która ukradkiem puściła do niej oko, a potem na syna pani Jaśminy, który wyciągał z kieszeni marynarki stary aparat fotograficzny Leica, taki na rolki z filmem. Zawiesił sobie aparat na szyi, zupełnie jak doświadczony fotoreporter.

Wielka sztuka -

- To tutaj. To właśnie ta sala! - wyjaśnił pan Parillaud, kiedy dotarli do części magazynowej, w której przechowywano dzieła sztuki. Wielka przestrzeń była podzielona ściankami kartonowogipsowymi, które tworzyły cały ciąg pokoiów zabezpieczonych alarmami, kamerami i czujnikami na podczerwień. - Nie mam pojęcia, w jaki sposób udało mu się ominąć te wszystkie zabezpieczenia i dotrzeć aż tutaj... po to, żeby zabrać obraz, który

znajdował się tam na górze. Widzicie ślad, jaki został na ścianie?

Cała trójka przytaknęła. Syn pani Jaśminy zrobił zdjęcie, przewinął rolkę z filmem w aparacie i zrobił jeszcze jedno.

- Ale zawiadomiłeś policję?

- Oczywiście. - I:..?

- Przyjechali, pooglądali, coś pospisywali i pojechali sobie. Ja sam przyznałem, że nie poniosłem żadnej wielkiej straty, więc nie wzięli sobie raczej tej sprawy do serca.

Przepraszam, uważaj, Nikolo!

Dziewczyna zamarła w bezruchu.

- Posążek przed tobą to oryginalny Tang. Jest wart około pół miliona euro.

- Och, bardzo przepraszam, panie Parillaud. - Nikola prędko cofnęła się o kilka kroków.

Walentyna pokiwała z uznaniem głową.

- Posążek Tang, doprawdy?

- Oryginalny.

- I nikt go nie zabrał?

- Jak widać.

- Czy skradziony obraz był jakoś specjalnie ubezpieczony?

Pan Parillaud pokręcił przecząco głową.

- Nie. Wszystko, co pani widzi w tym pomieszczeniu, pochodzi z jednej prywatnej kolekcji. Była własnością pewnego... Zaraz, muszę sprawdzić. Stary kolekcjoner z południa Francji, chyba z Grenoble, jak mi się wydaje, albo z Grasse... Zakupiłem cały zbiór kilka miesięcy temu za niewygórowaną cenę... i teraz odsprzedałem na Wschód za dziesięć razy tyle...

- A jak zareagował nabywca z Japonii, kiedy dowiedział się o kradzieży? - zapytała Walentyna.”

- Nie przejął się. Poprosił, żeby przygotować przesyłkę zgodnie z tym, co ustaliliśmy.

- Wyobrażam sobie, że bardzo panu ulżyło...

- Istotnie tak było, pani Gaillard.

- A to? Co to jest? - zapytał Ludwik, wskazując skrawek czarnego materiału, który zwisał z tajemniczego obiektu pokrytego ostrymi kolcami. Całość przypominała jeża z metalu pokrytego rdzą.

Parillaud zrobił zdziwioną minę.

- No jak to! To Dynamiczne eksplozje w ograniczonej przestrzeni, rzeźba Cataliny Kasper, wybitnej hiszpańskiej artystki polskiego pochodzenia, tworzącej w okresie modernizmu! - wykrzyknął. - Uważaj, Ludwiku, i lepiej jej nie dotykaj.

- Chodziło mi o ten czarny skrawek materiału - bronił się antykwariusz. W końcu on też zajmował się dziełami sztuki, tylko innego rodzaju.

4

Wielka sztuka -

- O jakim materiale mówisz?

- O tym! - zawołał Ludwik, podnosząc mały kawałek tkaniny końcówką długopisu, tak jak to widział w telewizji w serialach kryminalnych.

Pan Parillaud wzruszył tylko ramionami.

- Ach, to. Nie mam pojęcia. Pewnie pozostałość jakiegoś opakowania.

Zaskoczona Nikola obserwowała syna pani Jaśminy, który jak gdyby nigdy nic, gdy tylko marszand się odwrócił, włożył czarny skrawek do kieszeni z wyrazem twarzy doświadczonego detektywa z białoczarnych filmów.

- Kiedy się spotkaliśmy - Walentyna zwróciła się do Parillauda - wspomniał pan nazwisko Lavigny... Kto to?

- W moim zawodzie „Lavigny” oznacza tylko jedno: oszustwo.

- Można prosić nieco jaśniej?

- Naprawdę nie słyszała pani nigdy o Jeromie Lavigny z firmy Lavigny & Borel?

- Obawiam się, że nie.

- To mój najważniejszy konkurent. Teraz jest szczególnie zazdrosny o moje nowe kontakty na japońskim rynku.

- Co pana zdaniem ten Lavigny ma wspólnego z kradzieżą? - zapytała Nikola.

- To proste... - odpowiedziała Walentyna. - Jeśli rozejdzie się wiadomość, że złodziej wszedł do tego magazynu i wyszedł z niego niezauważony, to wszyscy uznają, że miejsce nie jest bezpieczne. I on na tym zyska. Mam rację, panie Parillaud?

Wielka sztuka

- Niestety tak, pani Gaillard. I właśnie na tym, moim zdaniem, polega zagadka tej nedorzecznej kradzieży portretu.

37

Kwadrans później cała trójka była z powrotem w Citroenie. Ludwik prowadził z wprawą, pogwizdywał i wystawił lekko rękę za szybę, chociaż o temperaturze na zewnątrz można było powiedzieć wszystko, ale nie to, że jest przesadnie wysoka. Wyglądał trochę jak jakiś łobuz, któremu jak zwykle się upiekło i nikt go nie przyłapał na gorącym uczynku. A Nikola nawet nie musiała zgadywać, co to był za uczynek. Obok niego siedziała Walentyna Gaillard i pocierała nos: zwykle swędzia ją, kiedy czuła, że w powietrzu wisi jakaś dobra wiadomość do opisania. Nikola, która skrupulatnie wszystko zapisywała w nieodłącznym czerwonym notesie, teraz zaczęła na głos odczytywać zapiski. Kiedy skończyła, tylko jedno

pytanie krążyło po samochodzie:

- I co teraz zrobimy?

- Powiedziałaabym, że odwiedzenie firmy Lavigny & Boreł to konieczność - rzekła Nikola.

- Niestety, ja o szesnastej mam umówione spotkanie... - wyznał ze smutną miną młody antykwariusz, pokazał migacz i skręcił w jedną z wąskich uliczek dzielnicy Marais, w stronę domu. - Ale możecie jechać same, jeśli chcecie.

- Wydaje mi się, że na dziś już wystarczy... - zaczęła Walentyna.

- Ależ nie, mamo! Jedźmy!

- Zaraz, a twoja praca domowa?

- Na poniedziałek nic nie mam zadane!

- No popatrz, co za przypadek! Akurat dziś jesteś zupełnie wolna!

Citroen zahamował gwałtownie przy chodniku.

- Mogę zapytać Simona, czy jedzie z nami - zaproponowała dziewczyna.

Kiedy wysiedli z samochodu, Walentyna Gaillard uśmiechnęła się do Ludwika.

- To było bardzo miłe, że nas pan zawiózł i przywiózł - podziękowała mu.

Ludwik poczerwieniał kolejny raz.

- To była przyjemność...

Głos z głębi sklepu przerwał im uprzejmości.

- Chłopcze! - zawołała pani Jaśmina donośnie. - W samą porę! Pan Chaveret przyjechał już jakiś czas temu! Jak długo jeszcze każesz mu czekać?

- Proszę mi wybaczyć, Walentyno... - przeprosił Ludwik, który szybkim krokiem już zmierzał do sklepu. Zawrócił jednak, żeby zamknąć drzwi w samochodzie. - Ach, to moje roztargnienie.

Między nami kobietami

-

Walentyna uśmiechnęła się przyjaźnie.

Nikola właśnie skończyła rozmawiać przez telefon.

- No i? Co odpowiedział?

- Simon nie jedzie. Zgubił pióro.

- Od kiedy to zgubione pióro jest tak niezmiernie ważne w jego życiu?

Dziewczyna tylko przewróciła oczami i zrobiła kwaśną minę.

- Od kiedy to właśnie pióro jest własnością Sandry.

Matka już miała jej zadać kolejne pytania, ale Nikola powstrzymała ją, dając znak ręką. Wybrała inny numer i zaczęła następną rozmowę.

- Halo, Leon? Słyszysz mnie?

Chwilę później, po tym jak upewniła się, że spotkanie syna z klientem już się zaczęło, pani Jaśmina podeszła do Walentyny i Nikoli z planem urządzenia sobie małej pogawędki.

- Pani Jaśmino!

- Walentyno...

Obie panie przypatrywały się przez chwilę Nikoli, która rozmawiała przez telefon, żywo gestykulując.

- Ach, ta miłość... - zażartowała Walentyna.

- Nikola rozmawia ze swoim księciem z bajki? - zapytała po cichu pani Jaśmina.

- Och, nie! Ona tylko pyta o coś Leona. To Simon ma w klasie nową koleżankę, w której zakochał się do szaleństwa.

- A co by to była za miłość bez szaleństwa? - skomentowała pani Jaśmina z

uśmiechem. - Poza tym wszystkim nam się to kiedyś też przydarzyło, prawda?

W tym czasie Nikola skończyła rozmawiać i podeszła do dwóch kobiet.

- Poprosiłam Leona, żeby znalazł w Internecie adres firmy Lavigny & Borel, żebyśmy wiedziały, jak tam dojechać. Powiedział, że oddzwoni za dziesięć minut.

- Chciałaś powiedzieć „Dom aukcyjny Lavigny & Borel” - sprostowała pani Jaśmina.

- Zna go pani?

- Pracują tam moje dwie koleżanki. Zdaje się, że firma ma siedzibę przy ulicy Beausergeant... pod numerem 12.

- Jest pani lepsza niż Google, pani Jaśmino! - zaśmiała się Nikola.

- To był komplement, prawda?

- I to jaki! A więc, mam, jedziemy?

- Nie chcę być zbyt ciekawska, ale z jakiego powodu wybieracie się do tego domu?

Nikola spojrzała z niedowierzaniem na matkę.

- Jak to? Nic jeszcze nie opowiedziałaś o naszej sprawie?

Walentyna Gaillard pokręciła przecząco głową.

- Jeszcze nie, moja droga. Jeszcze nie.

- W takim razie o czym rozmawiałyście?

- O miłości, córeczko. O miłości i szaleństwie.

Nikola pokręciła głową z niedowierzaniem. Czy to możliwe, że jej mama traktowała ich śledztwo tak niefrasobliwie? Natychmiast przekazała dokładnie pani Jaśminie nowe informacje, jakie zebrali u Parillauda, i nawet nie musiała sięgać do swojego notesu.

Między nami kobietami

Energiczna antykwariuszka od razu spojrzała na zegarek.

- Jeśli ruszymy natychmiast, może uda się złapać moje przyjaciółki w bistro

naprzeciwko siedziby firmy Lavigny & Borel. Kończą o piątej. Jakaś mała pogawędka z nimi

mogłaby się przydać.

- Deser! - ucieszyła się głośno Nikola.

Wtedy zadzwonił jej telefon.

- Słucham? Nie trzeba. Już to wiemy. Ale dzięki. Tak, rozumiem, sieć jest dziś wolna.

Na szczęście pani Jaśmina jest jak zwykle szybka! Cześć.

W zamglone popołudnie, punktualnie o siedemnastej, pięć kobiet siedziało wokół niedużego stoliczka z marmurowym blatem, który chyba tylko cudem wspierał się prosto na kutyh żelaznych, cienkich nóżkach. Przed nimi stały szklanki i filiżanki z różnymi napojami: woda z miętą dla Nikoli, czarna herbata z migdałami dla Walentyny, kawa z mlekiem dla pani Jaśminy i koktajle z likierem z czarnych porzeczek Creme de Cassis dla jej przyjaciółek. Były to dwie panie wyglądające nieco dziwnie: blondynki, z fryzurą pazia, tak podobne, że wydawały się siostrami. Miały wyraźną słabość do biżuterii: na palcach nosiły mnóstwo pierścionków, na szyi wisiorki, które wcale nie wyglądały na lekkie, a w uszach rzucające się w oczy duże kolczyki.

Dzięki towarzyskim zdolnościom pani Jaśminy toczyła się przyjemna rozmowa, choć tak naprawdę nie poruszano żadnego konkretnego tematu.

- A więc Paul...

- To było w Normandii, moje panie...

- Nie możecie sobie wyobrazić, jakie to było drzewo...

- To moje piękne wspomnienia z dzieciństwa...

Nikola wypila całą wodę z miętą, potem zaczęła rozbijać po kolei kostki lodu, a kiedy skończyła, postanowiła wreszcie włączyć się w rozmowę, akurat w tym momencie dotyczącą jakiejś torebki z paskami z rzemienia, która wydawała się bardzo „wygodna”. Dziewczyna zrozumiała, że konieczne jest przejęcie inicjatywy.

- A czy słyszałyście może kiedykolwiek o panu Parillaudzie? - zapytała

niespodziewanie, kiedy trafił się ułamek sekundy ciszy.

Dwie koleżanki zamilkły i popatrzyły na Nikolę, jakby ta była posążkiem nefrytowego

Buddy, który nagle przemówił.

Walentyna spojrzała wymownie na córkę.

- Nikolo, czy wydaje ci się, że to grzecznie tak wtrącać się do rozmowy?

- Oczywiście, mam... Rozmawiam o tym, co mnie interesuje! - odpowiedziała

dziewczyna, wzruszając ramionami i uśmiechając się niewinnie.

Zapadła chwila ciszy. A po tej chwili pani Jaśmina i jej przyjaciółki wybuchnęły

śmiechem.

- Co za bystra dziewczynka! - powiedziała jedna z kobiet do Walentyny.

- Nie tylko bystra, to prawdziwy cyklon nie do opanowania!

- Ja w jej wieku byłam taka sama albo i lepsza - wyznała rozbawiona druga

pracownica domu aukcyjnego.

W każdym razie lody zostały przełamane i rozmowa zesłała na tory, na które chciała ją

wprowadzić Nikola.

- Czy dobrze słyszałam? Interesuje cię pan Parillaud?

- Właśnie - przytaknęła Nikola.

- Zatem dobrze trafiłaś. Oczywiście, że go znamy. Czy nie tak, Wilmo?

- Pewnie, Betty. Znamy go doskonale.

- A on zna waszą firmę.

- Założę się, że powiedział, że Jerome jest jajałkiem albo jeszcze gorzej.

- Właśnie.

Dwie blondynki zaśmiały się głośno.

- Wcale mnie to nie dziwi. Jerome mówi z kolei o Parillaudzie, że jest nadęty jak balon, który prędzej czy później sam zniknie, kiedy polecą wysoko w chmury.
- Można zatem powiedzieć, że ci dwaj za sobą szczególnie nie przepadają? - włączyła się do rozmowy pani Jaśmina.
- Nie cierpią się - przyznały dwie kobiety.
- Aż tak, żeby robić sobie okrutne żarty? - zapytała Walentyna.
- Żarty - być może. Brudne chwytaki na pewno.
- A... coś poważniejszego?
- Na przykład?
- Zlecenie kradzieży.

Dwie kobiety spojrzały na siebie.

Między nami kobietami

- Och nie, to wykluczone. Być może Parillaud. Ale nie wierzę, że Jerome był zdolny do pomyślenia o czymś takim.
- Dlaczego o to pytacie?
- Z ciekawości. Poza tym słyszałam pogłoski... - Walentyna zawiesiła głos.
- Tak, pogłoski. Takie, które aż się proszą, żeby troszkę

oniich porozmawiać - dodała pani Jaśmina i znowu wszystkie się zaśmiały.

Po chwili obie kobiety westchnęły, wymieniając spojrzenia, w których mieszały się podekscytowanie

lniepokój. W końcu wydawało się, że Wilma postanowiła jednak coś powiedzieć.

- Biorąc pod uwagę, że się nam zebrało na zwierzenia - spojrzała jeszcze raz na Betty, która dała jej zielone światło.
- Jeśli już rozmawiamy o pogłoskach, którym nie można się oprzeć... Jest bardzo

wyraźny powód, dzięki któremu jesteśmy pewne, że Jerome Lavigny nie miałby ani czasu, ani chęci zlecenia kradzieży u Parillauda.

- Co to takiego? - zapytała Nikola.

- Jest całkowicie pogrążony.

- Pogrążony?

- Tak, moja droga. Czy, jak to mówicie dziś wy, młodzi... ugotowany? Jerome

Lavigny każdą chwilę, całą swoją energię i prawdopodobnie wszystkie karty kredytowe poświęca, aby zdobyć serce brazylijskiej piosenkarki i tancerki, w której jest do szaleństwa zakochany.

Nikola aż podskoczyła na krześle. Jeśli kobiety miały rację, to cały wątek nieuczciwej konkurencji w świecie obrotu dziełami sztuki nadawał się do wyrzucenia. A hipotezy dotyczące kradzieży flamandzkiego portretu stawały się jeszcze bardziej skomplikowane. A może pan Parillaud sam ukradł ten obraz? Może jest lunatykiem i zrobił to nieświadomie? A może kradzieży dokonał jeden z pracowników jego galerii?

- Za miłość! - pani Jaśmina zaproponowała toast, podnosząc do góry swoją szklankę.

- Za miłość! - przyłączyły się pozostałe panie.

Nikola natomiast wykreśliła pana Lavigny ze swojej osobistej listy podejrzanych.

Także tego wieczoru nad Paryżem rozpostarła się gęsta mgła, a co jakiś czas

przechodził intensywny deszcz. Na ulicach utworzyły się lśniące kałuże, od czasu do czasu

rozchlapywane przez przejeżdżające samochody. Na rogu zaułka Woltera jakiś pan

spacerował ze swoim psem, a raczej za nim, bo pupil wyrywał się zajadle do przodu,

pociągając za sobą smycz i właściciela. Kiedy pies się zatrzymał, mężczyzna podniósł wzrok

na kamienicę pod numerem 11. Szara, lekko przybrudzona fasada, nadawała jej surowy

charakter: Przez kilka okien wychodziły promienie zapalonego w środku światła, zaś w

jednym z nich, tuż pod dachem, odbijały się w szybie refleksy oglądanego telewizora.

Pies po raz kolejny pociągnął człowieka za sobą, tak że ten musiał ruszyć za zwierzęciem. Wcale nie chciał mieć psa, a już szczególnie nie lubił wyprowadzania go na spacer, zwłaszcza w taką noc jak ta.

Pod osłoną nocy inna osoba przekradała się koło tej samej kamienicy. Przebiegła po cichu na palcach przez półpiętro i tak samo bezszelestnie zeszła po schodach na wewnętrzny dziedziniec budynku. Postać minęła stojak na rowery i dotarła do drzwi, które prowadziły do piwnicy. Z największą ostrożnością zeszła po schodach, trzymając się dość niestabilnej poręczy, i weszła w ciemny korytarz, który prowadził przez dwa rzędy zamkniętych drzwi. Oglądając się co chwilę za siebie, postać wyciągnęła z kieszeni pod bluzą małą latarkę na baterie i zapaliła ją, zwracając uwagę, żeby promień światła padał na dół, wprost pod nogi w sportowych butach. Potem uniosła latarkę kilka razy, aby sprawdzić numer na wyblakłych drzwiach. Zatrzymała się pod dwunastką - piwnicą pani Jaśminy.

Tajemnicza postać popchnęła lekko drzwi, które jak zwykle były otwarte. Zamknęła je ostrożnie za sobą i skierowała się ku wąskim schodkom, które znajdowały się po przeciwnej stronie piwnicy. Dziwna osoba weszła po nich szybko, wskakując po dwa schodki na raz.

Na koniec pochyliła się, żeby przejść pod okapem ogromnego kominka, który znajdował się w zielonym gabinecie, w mieszkaniu detektywa Darbona.

Darbon był legendarnym śledczym. Na początku XX wieku rozwiązał (sam albo we współpracy z policją) kilka najbardziej intrygujących zagadek prowadzonych w mieście, na przykład: sprawę zabójstwa na Wystawie Światowej, przypadek Czerwonej Maski czy tajemnicę dusiciela tancerek z operetki Folies Bergère.

Dzięki Darbonowi detektywi z zaułka Woltera mieli do dyspozycji miejsce, w którym mogli się spotykać, wielką bibliotekę z książkami o przestępstwach, które mogli czytać, oraz

kolekcję sprzętów i pomocy naukowych, której nie powstydziliby się nowoczesne laboratorium badające ślady przestępstw.

Wydawało się, że postać, która wkradła się do zielonego gabinetu, poszukuje właśnie jakichś śladów. Po zamknięciu za sobą sekretnego przejścia tajemniczy gość zaczął świecić latarką dookoła i rozpoczął przeszukiwanie: szukał między łapami lwa z wielkiego stołu, wokół dużego srebrnego świecznika ustawionego na środku, obok hebanowego noża do otwierania listów i kryształowej popielniczki. Potem przyszedł czas na fotele obłożone ochroniaczami ze wzorem wielkich figur szachowych. Podniósł zasłony, zajrzał do gardzieli niedźwiedzia i lwa zawieszonych na ścianie obitej sukniem w kolorze liści szaławii. Cały czas nic. Tak samo jak i w regałach z książkami, między fajkami z pianki morskiej, sztyletami, szablami i... nawet w środku czaszki, która spoglądała na szukającego kpiąco.

- Przecież nie mogło zupełnie zniknąć! - krzyknęła w pewnym momencie postać.

Tajemniczy gość zapalił lampkę znajdującą się na środku małego stolika przykrytego zielonym sukniem i ponownie zaczął rozglądać się dookoła. Niezbyt ostre światło, doskonałe do przeglądania czasopisma albo gry w karty z przyjaciółmi, odsłoniło zaniepokojoną twarz Simona Gaillarda.

- Muszę je znaleźć za wszelką cenę - powiedział do siebie chłopiec, wznowiając poszukiwania.

Skrupulatnie zbadał całe pomieszczenie, ale jego niepewność rosła z minuty na minutę. Ludwik musiał posprzątać pokój po ostatnim spotkaniu klubu. W gabinecie pojawiły się nowe przedmioty, na przykład projektor na rogu dużego stołu oraz foliowa torebeczka, używana do trzymania jedzenia w lodówce. Ta jednak zawierała...

- Kawałek czarnego materiału? - zapytał sam siebie Simon, podnosząc ją przed sobą pod światło.

Obok plastikowej torebki znajdowały się: rząd butelek w różnych rozmiarach, oznaczonych dziwnymi skrótami, kilka talerzyków ze śladami popiołu, gąbka nasączona czarnym atramentem i kartka papieru, na której syn pani Jaśminy odcisnął kilka razy lewy palec wskazujący. Simon pokręcił głową, ale zrezygnował z dociekania, o co chodzi z tymi rekwizytami, prawdopodobnie przygotowanymi na następne zebranie.

Nawiasem mówiąc, Simon nie miał pojęcia, co miało się dzieć na kolejnym spotkaniu i nie wiedział zupełnie nic o śledztwie, które detektywi aktualnie prowadzili. Przypomniawsobie tylko zaszyfrowane hasło „przypadek flamandzkiego portretu”, ponieważ zastanawiał się, czy „flamandzki portret” oznacza obraz namalowany flamastrami.

Postacie w półmroku - Niespodziewany hałas sprawił, że chłopiec odwrócił się w stronę drzwi, które prowadziły do przedpokoju w mieszkaniu wielkiego detektywa.

Simon nie potrzebował wiele czasu, aby uzmysłowić sobie, że to dźwięk klucza przekręcanego w starym zamku w drzwiach.

Z niewiadomego powodu poczuł, że ogarnia go panika. W rzeczywistości nie było nic złego w tym, że Simon przebywał w mieszkaniu Darbona. Ludwik powiedział przecież, że mogą uważać lokal na pierwszym piętrze za oficjalną siedzibę klubu detektywistycznego, wspólnoty tajemnicy albo jakkolwiek inaczej zdecydują się go nazywać.

Pytanie jednak było inne: kto wchodził przez główne drzwi?

Simon spojrzawsobie w stronę wielkiego kominka, zastanawiając się nad wydostaniem się z pokoju drogą, którą przyszedł, ale ostatecznie zdecydował inaczej. Wybiegł z gabinetu i minął ciemny korytarz. Popchnął pierwsze drzwi po lewej i wpadł niezauważony do pokoju, w którym stało łóżko Darbona.

Sypialnia zmarłego sto lat temu detektywa mogła budzić nieco strachu: było tam stare łóżko z baldachimem i dywan z białego niedźwiedzia z wytrzeszczonymi oczami.

Przez szparę w drzwiach Simon usłyszał hałas pęczka kluczy wkładanego do kieszeni, potem kilka kroków, zdejmowanie w pośpiechu butów i układanie ich koło wejścia...

I dopiero wtedy zorientował się, że cały czas ma zapaloną latarkę.

Zgasił ją w mgnieniu oka, dokładnie wtedy, kiedy intruz, który zakradł się do mieszkania w zaułku Woltera, szedł przedpokojem bez butów, tak żeby nie robić hałasu.

Postacie w półmroku

Simon wstrzymał oddech. Czekał, aż nieznajomy przejdzie dalej, chcąc mieć pewność, że wszedł do zielonego gabinetu. Odpędzał od siebie myśl, że to sam Darbon wstał z grobu i wraca na krótką drzemkę do własnego łóżka.

Chłopiec zaczekał kilka minut, które wydawały się nie mieć końca, a następnie postanowił wyrzeć przez drzwi. Ten ktoś chyba był zajęty przesuwaniami jakichś rzeczy w zielonym gabinecie.

Simon usłyszał dziwny szum, potem jakieś mamrotanie, a następnie pod drzwiami gabinetu ukazała się smuga światła.

Chłopiec podszedł wystarczająco blisko, żeby sprawdzić, co tam się dzieje, kiedy jednak przykładał ucho do drzwi, te otworzyły się i Simon stanął oko w oko z intruzem.

- Co... Cormolles? - wybełkotał Simon.

- To ty, chłopcze? - odrzekł listonosz. - Co tutaj robisz?

- Ja nic! Ale... Co pan tu robi? I dlaczego jest pan bez butów?

Listonosz spojrzał na swoje stopy.

- Dlatego że nie chciałem hałasować... Ale nie odpowiedziałeś mi jeszcze: co tu robisz?

- Szukam pióra - wyznał wreszcie Simon. - Nie mogę go nigdzie znaleźć. Nie ma go w szkole, więc jedyne miejsce, gdzie mogłem je zgubić, to znaczy... może nie jedyne... ale jedno

z miejsc, gdzie mogłem je zgubić... to ten gabinet.

- Jakie to było pióro?

- Pióro Sandry.

- Nie proszę cię, żebyś mi opowiadał, do kogo należało - mruknął Cormolles. -

Zadałem ci pytanie, jak to pióro wyglądało.

- Ach, jest... mniej więcej takiej długości.

- Jak to pióro? - Wiktor skinieniem głowy wskazał na pióro leżące na stole.

- Dokładnie. I jest fioletowe.

Cormolles podrapał się po czole.

- Fioletowe. Nie. Nie widziałem go.

- Będzie panu przeszkadzało, jeśli chwilę poszukam?

- A niby dlaczego miałyby przeszkadzać?

Cormolles przesunął się i pozwolił wejść Simonowi.

Kiedy już był w gabinecie, chłopiec zauważył, że projektor jest włączony.

- Przyszedł pan obejrzeć zdjęcia z wakacji?

- To nie zdjęcia z wakacji. Ja nie jeżdżę na wakacje - odpowiedział listonosz i zaczął majstrować przy sprzęcie, chcąc umieścić w nim przegródkę ze slajdami.

- Więc co to jest?

- To zdjęcia Ludwika.

- Z jego wakacji?

- Nie, młody Gaillardzie! To zdjęcia, które zrobił tego popołudnia u właściciela galerii, Parillauda.

Simon spojrzał na niego z otwartymi ustami, zadając sobie w myślach pytanie,

dlaczego nazwisko Parillaud wydaje mu się dziwnie znajome.

- Chodzi o tego marszanda - wyjaśnił Cormolles.

Simon pokręcił głową. Listonosz Cormolles westchnął, wcisnął przycisk pilota projektora i na ścianie

Złodziej nad złodziejami

- ukazało się zdjęcie, oczywiście odwrócone do góry nogami, pomieszczenia, z którego została skradziona Dziewczyna w czerwonym czepku.

- Wiesz przynajmniej - powiedział, obracając slajd - że prowadzimy śledztwo w sprawie dziwnej kradzieży?

- Ależ oczywiście!

- I że dziś twoja siostra, mama i Ludwik pojechali porozmawiać z okradzionym?

- A po co?

- Żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Ludwik zrobił nawet kilka zdjęć swoim starodawnym aparatem fotograficznym.

Klak!

- Wszystkie je zrobił do góry nogami!

- Najwyraźniej. Pomóż mi je odwrócić, chłopcze.

Simonowi nie trzeba było powtarzać. Zresztą w przegródce było tylko piętnaście slajdów.

- Parillaud to ten facet? - zapytał chłopiec, kiedy Cormolles wrócił do wyświetlania zdjęć.

- Tak.

- On sam ma twarz złodzieja.

- To pierwsza mądra rzecz, jaką powiedziałeś, odkąd tu jesteś.

Simon wcale się nie obraził. On też, jak pozostali, był już przyzwyczajony do

zręczliwego charakteru listonosza. Nie zmieniało to faktu, że pan Cormolles nadal zachowywał się dziwnie.

- Ale dlaczego przyszedł pan oglądać slajdy akurat o tej porze?

Rozmówca wzruszył ramionami.

- Jutro rano pracuję.

- Poza tym był pan ciekawy...

- Tak. Powiedzmy, że... wpadła mi do głowy pewna myśl.

- Myśl?

Listonosz szybko przesunął pozostałe trzy fotografie, potem skupił się na tej, która pokazywała pustą przestrzeń po skradzionym obrazie i kawałek czarnego materiału wiszącego na rzeźbie przypominającej jeżozwierza.

Simon zwrócił uwagę na kawałek tkaniny.

- Ale to... jest w tamtej plastikowej torebce... koło butelek i atramentu do robienia odcisków palców.

Cormolles sprawdził najpierw talerzyki i flakoniki z nalepionymi niezrozumiałymi etykietami, następnie gąbkę z atramentem, a potem przyjrzał się plastikowej torebce.

- Co to może być? - zapytał Simon, wskazując talerzyk pełny popiołu.

- To odczynniki chemiczne - odpowiedział listonosz. - Służą do wykrywania śladów krwi albo odcisków zostawionych na tkaninach.

Wyciągnął z torebki kawałek czarnego materiału.

- Ale w tym przypadku wysiłek był niepotrzebny - dodał.

- Nie znaleziono odcisków? - zapytał Simon.

- Nie były potrzebne. Sama tkanina jest już odciskiem.

- Co ma pan na myśli?

- To stary Misza... Wiedziałem... To mógł być tylko on!

- Panie Cormolles...

- To znaczy, że teraz musi mieć już ponad siedemdziesiąt lat.

- Ale kto? Może będzie pan tak miły i wytłumaczy mi to?

- Teraz przynajmniej wiemy coś więcej na temat tej absurdalnej kradzieży obrazu. Z pewnością zabrał go Misza Barnofsky, zwany Tancerzem.

- Jak to... Tancerzem?

- Tak go nazywano, kiedy kilkanaście lat temu otwierał najlepiej strzeżone sejfy w mieście i za każdym razem rozpływał się we mgle... jakby tańczył pośród ciemności w swoim czarnym uniformie z jedwabiu... - listonosz wskazał kawałek czarnej tkaniny. - Zupełnie takiej jak ta... To najbardziej zadufany w sobie złodziej, jakiego kiedykolwiek poznałem!

- To pan go zna? Naprawdę?

- A któż go nie zna? - wykrzyknął wtedy inny głos, aż obaj podskoczyli. I zaraz potem, po uderzeniu głową o fragment kominka, wszedł do zielonego gabinetu adwokat Janvier.

- Mecenasie!

- Cormolles... Chłopcze...

- Czy nie za późno na urządzenie sobie spacerów?

- Mam mało czasu - odpowiedział dawny książę sali sądowej - zanim moja żona przypomni sobie, że nie mamy żadnego psa, którego trzeba wyprowadzać na spacer.

- Naprawdę użył pan takiej wymówki?

- A co innego mogłem powiedzieć, aby stłumić jej przytłaczającą czujność? Kiedyś naprawdę mieliśmy pieska, którego trzeba było wyprowadzać, zatem...

- Naprawdę? - zdziwił się Simon. - Mieliście psa?

- Tak, okropnego pudła, ale... wracając do naszej sprawy... Myle się, czy słyszałem, że wspomniano tu Miszę Barnofsky'ego... Tancerza?

- Na miejscu kradzieży było to - powiedział listonosz, pokazując kawałek materiału. - Tkanina identyczna jak ta, której używał właśnie on... Ten sam typ drogiego jedwabiu. Obaj mężczyźni i chłopiec przez chwilę nie odzywali się.

- Chociaż to nadal jest dziwne... - powiedział w końcu Janvier.

- Dlaczego ukradł akurat ten obraz? - zapytał Simon.

- Nie. Dziwne jest to, że Tancerz jeszcze raz wrócił na scenę. Ma już swoje lata i...

Na podwórku rozległ się jakiś hałas, który sprawił, że adwokat zamilkł, przynajmniej do czasu, zanim nie okazało się, że to nie jego żona.

- A wydawało mi się, że skończył z kradzieżami.

- Skończył, naprawdę - potwierdził Cormolles. Wymówił te słowa w taki sposób, że nie dopuszczały one żadnej innej możliwości.

- Zatem zgodzi się pan ze mną, że jest to dziwne?

- Tak, mecenasie. Także dlatego, że Tancerz nigdy nie wysiłał się dla czegoś tak... mało wartego.

- Obraz, który ukradł, to tylko jakiś bohomaz.

- Ale może pod bohomazem...? - zapytał nagle Simon.

- Co mówisz?

- Powiedział: pod bohomazem.

Janvier i Cormolles wymienili długie spojrzenia.

- Jasne. Jak mogliśmy o tym nie pomyśleć wcześniej! - wykrzyknął adwokat.

- To jajko Kolumba. Portret dziewczyny w czerwonym czepku został namalowany na innym obrazie. Być może o wielkiej wartości.

- Tak cennym, że skusił do powrotu Tancerza.

- I wszystko zaczyna mieć sens.

- Poza tym, że my nic nie wiemy o Tancerzu.

- Jeśli o to chodzi, to mam przyjaciela, którego mógłbym poprosić o przysługę... -

powiedział adwokat, zbliżając się do telefonu, który znajdował się tuż przy wyjściu z zielonego gabinetu. - Czy Ludwik opłacił ponowne podłączenie linii?

- Proszę sprawdzić.

Javier podniósł słuchawkę i usłyszał sygnał wolnej linii. Następnie wybrał numer, zaczekał kilka sekund i w końcu zapytał:

- Alain? Witaj, wybacz, że o tej porze... Tutaj Ferdynand. Posłuchaj... Mam nadzieję,

że nie przeszkadzam, ale... staram się odtworzyć pewną starą sprawę... Wiesz, do tej mojej

książki ze wspomnieniami z sądu, o której ci mówiłem... Pamiętasz, jak broniliśmy Miszę

Barnofsky'ego? Dokładnie: Tancerza, właśnie jego. Otóż... Myślisz, że dałoby się ustalić...

gdzie mieszka? Co mówisz? Ależ oczywiście. Jasne, że mam książkę telefoniczną, ale... Nie

wydaje mi się jednak...

Janvier włożył sobie słuchawkę między ucho i ramię. Otworzył szafkę, na której stał

telefon, i wyjął z niej pierwszy tom spisu abonentów telefonicznych Paryża. Zaczął

sprawdzać pod literą „B”.

- Barnacle... Barnadet... Barnofsky, Misza. Jasny gwint, Alain, wielkie dzięki! Bardzo

mi pomogłeś.

Ferdynand Janvier chwycił pióro, które leżało obok telefonu, i napisał dość niedbale

adres Tancerza, następnie wrócił triumfalnie do zielonego gabinetu.

- Proszę bardzo. Załatwione! - oznajmił. - Mam jego adres.

- Jest pan fantastyczny! - powiedział, a właściwie wykrzyknął Simon.

- To nie było takie trudne... - odrzekł adwokat, zanim zauważył, że Simon uradował się nie z adresu Tancerza, ale z powodu pióra, które zobaczył w jego dłoni.

- Gdzie pan je znalazł?

- Było tam, obok telefonu, i... To...? Chłopcze?

Stary książę sali sądowej ze zdziwieniem spojrział w stronę listonosza i obaj patrzyli, jak Simon podskakuje z radości w zielonym gabinecie.

Chwilę później słychać było, jak na ostatnim piętrze kamienicy otwierają się i zamykają okna, co wzbudziło niepokój mecenasa Janviera.

- Obawiam się, że na mnie już pora. Muszę wracać do domu, zanim będzie za późno.

Podał listonoszowi karteczkę z adresem i telefonem i zapytał:

- Może spróbujemy zadzwonić do niego jutro?

- Oczywiście - odpowiedział Cormolles z typowym dla siebie sarkazmem, kiedy adwokat schylał już głowę, żeby przejść pod okapem kominka. - Stary Misza będzie zachwycony możliwością opowiedzenia nam przez telefon, jak popełnił to przestępstwo!

- Ma pan jakiś inny pomysł, Cormolles?

- Jeśli przeżyje pan spotkanie z żoną, możemy go odwiedzić.

- Kiedy? - zapytał Janvier, a jego głos dobiegał z coraz bardziej daleka.

- Jutro wieczorem... O szóstej?

- Szósta...? Zobaczymy... A niech to! Jutro po południu przyjeżdża moja szwagierka z Marsylii. Od ośmiu lat udaje mi się jej unikać, ale tym razem nie ma ratunku. Przykro mi, panie Cormolles, będzie pan musiał pójść sam.

- Nie będę płakał z tego powodu, mecenasie. Ale żeby pan też przypadkiem nie płakał

- zaśmiał się listonosz.

Oparł prawą rękę na kominku, odwrócił się w stronę środka zielonego gabinetu i

popatrzył na Simona.

- A ty jeszcze tutaj, mały Gaillardzie?

- Tak. Mam propozycję: skoro pan Ferdynand jest zajęty, to jutro moglibyśmy pójść z panem ja i Nikola.

- Nie ma mowy!

- Panie Cormolles, niech pan się zgodzi.

- Skąd w ogóle przyszedł ci do głowy taki pomysł?

- Chciałbym poznać Tancerza. Chcę zobaczyć złodzieja z krwi i kości!

Cormolles podszedł, żeby wyłączyć projektor.

- No, już do domu - powiedział do chłopca.

- Więc jutro my też idziemy, dobrze?

- Sza! Powiedziałem, że nie. Sprawa skończona.

Dziwaczna trójka wyszła ze stacji metra Opera.

- Nie mam pojęcia, jak wasza mama wytrzymuje z dwojgiem takich małych terrorystów - zagrzemiał Wiktor Cormolles i zacisnął pięści w kieszeni starej zamszowej kurtki.

- Ona mówi dokładnie to samo - przyznał Simon.

- Używa tych samych słów - potwierdziła Nikola. - Ale w tym przypadku nie wiem, dlaczego pan tak narzeka.

- Zaraz ci powiem, dziewczynko: postanowiłem pójść odwiedzić Tancerza sam, zupełnie sam, natomiast...”

- O czymś pan nie pomyślał.

- Niby o czym?

- Sam pan powiedział, że Barnofsky jest osobą bardzo zadufaną w sobie.

- Powiedziałem tak, bo to prawda. I co z tego?

- To proste. Przedstawi nas pan jako swoich siostrzeńców, mówiąc, że chciał nam pan pokazać wielkiego człowieka, którego tak bardzo podziwia. Tancerz złapie się na pochlebstwo i opowie wszystko, co nas interesuje.

Jedynym komentarzem Wiktora było wymamrotanie pod nosem czegoś

niezrozumiałego. Nigdy by tego nie przyznał, ale mała Gaillard miała głowę nie od parady i jej pomysł był doskonały.

Aby dojść pod adres, który dzień wcześniej ustalił mecenas Janvier, potrzeba było jeszcze kilku minut.

- Całkiem ładna kamienica - zauważył Simon, kiedy zatrzymali się pod numerem 6 przy ulicy Caumartin.

- Tancerz zawsze miał dobry gust - przytaknął Wiktor.

- Ale ulice nie są zbyt czyste... - skrzywiła się Nikola, przeskakując nad kilkoma rozrzuconymi kartonami. Oprócz pojemników na jedzenie i gazety były tam resztki petard, sztucznych ogni, serpentyn i konfetti.

- Musiało tu być jakieś święto dzielnicy... albo coś podobnego - zauważył listonosz.

- Pewnie z pokazem sztucznych ogni! - wykrzyknął Simon. - Teraz sobie przypominam, że słyszałem coś przez okno ostatniego wieczoru.

Weszli głównym wejściem kamienicy Barnofsky'ego i zatrzymali się przed furtką, za którą znajdował się mały dziedziniec, a po jego obu stronach marmurowe schodki, raczej wąskie, ale ładnie utrzymane.

- Całkiem nieźle jak na złodzieja - przyznała Nikola, zaglądając na zadbane dziedziniec z małą fontanną w rogu.

- Emerytowanego złodzieja, jak się nam wydaje - uzupełnił Cormolles. Potem, już nie

wiadomo który raz, upomniał ich: - Pamiętajcie, że to ja będę mówił, jasne?

Rodzeństwo Gaillard westchnęło.

- Panie Cormolles, spokojnie. Słyszeliśmy to przecież chyba ze sto razy w metrze.

- Więc teraz przynajmniej może coś do was dotarło - uciął krótko Wiktor. Przymrużył oczy, usiłując przeczytać coś na domofonie. Już od lat odkładał wizytę u okulisty, bo nie chciał przyznać, że zaczyna mieć problemy ze wzrokiem. - Skoro już tu jesteście, to przydajcie się do czegoś... Jakie nazwiska są tam wypisane? - zapytał.

- Nie ma nazwisk. Są tylko inicjały i numery.

- Typowe dla bogaczy.

- Jest coś jak M.B. albo B.M.?

- Nie, nic.

- Dobrze, w takim razie naciśnijcie jeden przycisk na chybił trafił.

- Ale...

- Nie mówcie mi, że nigdy tego nie robiliście... - i sam nacisnął przycisk na domofonie. Kiedy niespodziewanie odpowiedział mu głos z silnym akcentem hinduskim, zaimprovizował: - Jestem bratem Barnofsky'ego, drzwi na dole są zamknięte, a jego chyba nie ma w domu. Może pani otworzyć? - potem wytłumaczył Simonowi: - Im wyżej dzwonisz, tym mniej osób odpowiada na dzwonek domofonu. Mają od tego służbę, rozumiesz?

Po chwili byli już w środku.

- Schody po prawej czy po lewej stronie? - zapytał Simon.

Cormolles popatrzył na dwa korytarze, po prawej i po lewej stronie. W tym po prawej była nieczynna winda.

Trójka wymieniła między sobą spojrzenia wyrażające niezdecydowanie.

- Jest słynna zasada, która mówi, że jeśli jakaś rzecz może pójść źle, to tak się właśnie

stanie - powiedziała w końcu Nikola tonem nauczycielki. - Zatem na prawo!

Ruszyli więc do góry schodami po prawej stronie, po starych, błyszczących schodach z marmuru. Poręcz była elegancka, ręcznie kuta. Na górze miała drewniane wykończenie, które odbijało światło, tak było wypolerowane.

Sprawdzali po drodze wszystkie drzwi i kiedy dotarli już na poddasze, Simon wskazał mosiężną tabliczkę z numerem 9- W jej rogu małymi literkami wypisane były inicjały M.B.

- Chyba jesteśmy na miejscu...

- Miejmy nadzieję, że jest w domu.

- Pozwólcie mi mówić, OK?

- Dość! - Wiktor wcisnął mocno metalowy błyszczący przycisk dzwonka. Słysząc było, że w mieszkaniu rozległ się dźwięk, ale nikt nie podszedł, żeby otworzyć.

- Czemu nikt nie otwiera?

- Spróbujmy jeszcze raz.

- Mówię wam, że go nie ma.

- Może akurat jest w wannie i się kąpie?

- Albo słucha muzyki przez słuchawki.

Wiktor zadzwonił kolejny raz, przytrzymując przycisk dłużej niż poprzednio.

Żadnej reakcji.

Cisza.

Już mieli się odwrócić i zacząć schodzić na dół, kiedy Simon zorientował się, że coś jest nie tak.

Naprawdę coś było nie tak.

Przed drzwiami, na błyszczącej posadzce ułożonej w szachownicę z białych i czarnych kawałków marmuru, zauważyli małe, ciemnoczerwone ślady.

Cormolles zeszywniał. Trzeba było podjąć decyzję. I to szybko.

- Schodzimy na dół, ale już! - rozkazał.

- Ale pan Barnofsky może potrzebować pomocy! - zaprotestował Simon.

Listonosz wziął głęboki oddech. Chłopiec miał rację.

- No proszę, co za sytuacja... - zamruczał gniewnie. Zamknął na chwilę oczy, żeby pozbierać myśli. - Pewnie jesteście za mali, żeby mieć kartę kredytową? - zapytał w końcu.

- Tak - odpowiedział Simon. - Ale jestem już wystarczająco duży, żeby mieć tę... To karta do zbierania punktów w sklepie z grami wideo.

Cormolles wziął do ręki kartę i spojrzał swoim młodym towarzyszom prosto w oczy.

- Teraz posłuchajcie mnie uważnie: schowajcie się w tym ciemnym rogu, gdzie nikt was nie zobaczy. A kiedy powiem wam, że macie uciekać, to zbiegniecie w dół schodami, ile sił w nogach, rozumiano?

- Ale...

- Żadnego „ale”. Tym razem nie ma dyskusji.

Ton głosu Wiktora nie dopuszczał sprzeciwu i rodzeństwo Gaillard schowało się w cieniu, jedno tuż obok drugiego.

W tym momencie listonosz zbliżył się do drzwi i przyłożył do nich ucho, żeby wychwycić jakieś dźwięki z wnętrza mieszkania Tancerza.

Było jednak absolutnie cicho.

Po kolejnym głębokim oddechu zaczął majstrować plastikową kartą Simona i kilkoma zręcznymi ruchami wsunął ją między zamek w drzwiach a futrynę, zablokował delikatnym ruchem i otworzył drzwi.

Simon posłał w jego stronę spojrzenie pełne podziwu.

Listonosz otworzył powoli drzwi i zajrzał do środka. Można było odnieść wrażenie, że

przez mieszkanie na poddaszu przeszedł huragan. Książki, poduszki, bibeloty, krzesła...

Wszystko było poprzewracane.

Także rodzeństwo Gaillard prawie nieświadomie małymi kroczkami zbliżyło się do otwartych drzwi. Serca waliły im jak szalone. Nikola wzięła głęboki oddech. Coś niezwykle przykuło na chwilę jej uwagę. Ale był to tylko błysk, ulotne wrażenie, zanim zajrzała do środka mieszkania. Przewrócona w rogu lampa z abażurem oświetlała ten piekielny bałagan, rzucając na ściany dziwne cienie. Mimo nieporządku było tam jednak coś, czego nie można było przeoczyć: ciemny zarys ciała człowieka, które leżało na środku pokoju.

Wiktor dał dzieciom znak, żeby zostały z tyłu, a sam zniknął w półmroku za progiem.

Wrócił po paru sekundach z pochmurnym wyrazem twarzy.

- To Tancerz. Teraz już z pewnością nie odpowie nam na żadne pytanie.

Cormolles pokazał zdecydowanie schody i Simon z Nikolą zaczęli schodzić w dół, szczęśliwi, że mogą już sobie pójść z tego straszego miejsca. Stawiając krok na pierwszym schodku, Simon poczuł, że nadepnął butem na coś, jakby na kamyk. Bezwiednie podniósł przedmiot i włożył go do kieszeni. mm

Mieszkańcy kamienicy numer 11 przy zaułku Woltera byli poruszeni. Pierwszy raz przydarzyło im się coś tak straszego. Odkryli przecież ciało, zanim na miejsce przyjechała policja, która zresztą została szybko poinformowana o morderstwie.

Zadbał o to Wiktor. Wracając do domu po makabrycznym odkryciu, poszukał budki telefonicznej stojącej na uboczu, poza ewentualnymi wścibskimi spojrzeciami. Do słuchawki przyłożył chusteczkę, aby zniekształcić głos, i wykręcił numer alarmowy policji.

„Ulica Caumartin 6, mieszkanie numer 9, jest tam paczka, która może was

zainteresować!” - powiedział, używając starego żargonu paryskiego półświatka. Potem ód

razu odłożył słuchawkę, nie czekając na podziękowania.

Wiktor zmienił wprawdzie swoje życie, ale rozmowa telefoniczna z funkcjonariuszem policji ciągle była dla niego mało komfortowa.

Sensacyjna wiadomość dotarła nie tylko na policję. Seria telefonów obiegła także tajny klub detektywistyczny. Jakby delikatny dreszcz przebiegł po murach kamienicy numer 11 przy zaułku Woltera, od piwnic po dachy. Ale podekscytowanie wcale nie minęło tak prędko. Następnego dnia późnym popołudniem tajemnicze postacie znów przemykały w półmroku piwnic, docierając do tej pod numerem 12, jak zwykle żeby przekraść się sekretnym przejściem, które prowadziło do gabinetu Darbona.

I tak, mimo że brakowało jeszcze trzydziestu minut do osiemnastej, ustalonej godziny rozpoczęcia nadzwyczajnego zebrania, wszyscy detektywi z tajnej paczki byli już na swoich miejscach, wokół dużego stołu w zielonym gabinecie.

Jako ostatni przyszli członkowie rodziny GailJanvier uśmiechnął się, kiedy zobaczył ich przechodzących pod okapem kamiennego kominka.

- Dobrze, jesteśmy w komplecie, możemy dziś zacząć wcześniej. Wreszcie jakieś spotkanie naprawdę ze smaczkiem!

- Zgoda, zacznijmy od razu - odpowiedziała Walentyna, tonem zdecydowanie bardziej oschłym niż zwykle. - Ale najpierw musicie mnie uważnie wysłuchać.

Obecni natychmiast zamilkli.

- Sprawa jest bardzo prosta, moi państwo: nie jestem pewna, czy ta historia detektywistyczna jest dobrym pomysłem! - kontynuowała Walentyna.

Pierwszymi, którzy popatrzyli na nią z niedowierzaniem, były jej dzieci.

- Mamo! - wykrzyknęła z oburzeniem w głosie Nikola.

- Co ty mówisz? - dodał jak echo jej brat.

- Nie protestujcie. Jestem waszą matką i nie podoba mi się, że wałęście się po mieście w poszukiwaniu ciał na paryskich poddaszach.

- Ależ proszę pani... - wkroczył niespodziewanie do akcji mecenas Janvier. -

Rozumiem pani reakcję, ale było to zdarzenie całkowicie nie do przewidzenia!

- Poszliśmy tam przecież, żeby zamienić dwa zdania z Tancerzem - zaczął się bronić Simon.

- A pan Cormolles był cały czas gotowy, żeby nas obronić, jeśli zaszłaby taka potrzeba - dodała Nikola.

- To mało, ale tak właśnie by było - uniósł się listonosz swoim typowym szorstkim tonem.

Walentyna cicho westchnęła. Kto wie, dlaczego zawsze z jej dziećmi tak to się kończyło: powtarzała sobie, że będzie konsekwentna w swoich decyzjach, a potem Simonowi i Nikoli zawsze udawało się sprawić, że nachodziły ją wątpliwości.

Nikola od razu zauważyła wahanie w oczach matki i postanowiła zadać ostateczny cios. Wskazała dłonią osoby, które miała obok: adwokata Janviera i dobrą panią Jaśminę...

- Spójrz, mammo! Wydajemy ci się grupą brawurowych fanatyków? Zrozum, że nie wszystko w życiu ma się pod kontrolą.

- Tak właśnie jest - potwierdził Simon. - Nie można wiedzieć, na którym poddaszu w mieście zostanie popełnione morderstwo.

- Dobrze, niech wam będzie. Porozmawiamy o tym innym razem - poddała się Walentyna.

Ferdynand Janvier uśmiechnął się pod nosem.

- Walentyno, powinna być pani dumna z takich dzieci... wyjątkowo mądrych! - powiedział, nie kryjąc rozbawienia.

- Mądrych jak nie powiem co... - odpowiedziała kobieta. - Możemy zacząć zebranie?

Było to coś, na co wszyscy czekali, spotkanie zostało więc niezwłocznie rozpoczęte.

Nie musieli przypominać, co ma być pierwszym punktem spotkania. Nikola, Simon i

Wiktor opowiadali dokładnie po kolei, co wydarzyło się poprzedniego dnia w kamienicy

Barnofsky'ego. Detektywi z zaułka Woltera, zebrani pod starym żyrandolem oświetlającym

stół, byli tak skoncentrowani, jak gdyby brali właśnie udział w seansie spirytystycznym.

Kiedy sprawozdanie dobiegło końca, gabinet pogrzyżył się w ciszy. Przerwało ją

dopiero głośnie westchnienie Nikoli.

- Biedne dziecko - powiedziała pani Jaśmina. - Będzie sobie teraz przypominała to straszne przeżycie...

Pytania bez odpowiedzi - Wtedy jednak Nikola się uśmiechnęła.

- Nie, pani Jaśmino, proszę się nie przejmować, to nie tak, jak pani myśli. W zasadzie jest dokładnie odwrotnie. Mam wrażenie, jakbym czegoś jednak nie pamiętała. Jakby czegoś w tym brakowało... Fragmentu opowiadania, który mi gdzieś umknął.

- Mnie się wydaje, że powiedzieliśmy wszystko, co było do powiedzenia, dziecko - zaprzeczył Wiktor.

- Tak, wiem, ale... Ciągle mam to dziwne uczucie... Coś mnie na tym poddaszu zaskoczyło...

- „Jak mała iskra przelatująca w ciemności” - wyrecytował syn pani Jaśminy, przypominając jedno z ulubionych powiedzeń wielkiego Kinga Ellertona. -

- Jeśli rzeczywiście istnieje taka iskra, jestem pewny, że się ponownie zapali, Nikolo - zapewnił Janvier. - Teraz jednak, jeśli wszyscy się zgodzą, chciałbym dokonać małego podsumowania tego, co wydarzyło się do tej pory.

Głowy zebrane wokół dużego stołu przytaknęły na znak zgody.

Adwokat oparł łokcie na blacie, złożył dłonie, stykając z sobą opuszki palców, i rozpoczął analizę sytuacji.

- Zatem po niezwykle nudnym okresie posuchy zaczęliśmy śledztwo, mające na celu wyjaśnienie dziwnej kradzieży w magazynie galerii sztuki Parillauda. Przepięstwo wydawało się nietypowe, a nawet niemożliwe do wyjaśnienia. Chodziło o pierwszorzędnego złodzieja, który zabrał obraz o bardzo małej wartości. Dzięki śladowi znalezionemu przez Ludwika w magazynie okradzonego marszanda - kawałkowi czarnego jedwabiu - pan Cormolles uznał, że potrafi zidentyfikować złodzieja. Rozpoznał sławę paryskich włamywaczy, Miszę Barnofsky'ego, zwanego Tancerzem.

- Proszę posłuchać, mecenasie. Nie podobają mi się pańskie pokrętnie wywody - zniecierpliwiał się Wiktor. - Ja nie „uznałem, że mogę zidentyfikować”, kto ukraść ten przeklęty obraz. Ja to wiem i koniec: to był Tancerz!

- Niech pan się nie unosi, Cormolles - odpowiedział adwokat, zachowując zimną krew. - Nie mam zamiaru podważać pana kompetencji. Ale przyznamy wszyscy, że nie chodzi już tylko o zwykłą kradzież, ale i o morderstwo. Dlatego należy przyjrzeć się wszystkim elementom tej historii z największą starannością.

- Racja! - odpowiedział z przekonaniem Leon.

- Biorąc pod uwagę, że nawet nasz młody przyjaciel muzyk się zgadza, myślę, że możemy kontynuować! - powiedział z uśmiechem Ferdynand. - Na jakiej podstawie pan sądzi, że to Barnofsky dokonał kradzieży u Parillauda?

- Cóż... Dlaczego na tej okropnej rzeźbie, która znajdowała się w magazynie w chwili kradzieży, znaleziono kawałek czarnego jedwabiu?! Jedynym złodziejem, który używał kombinezonu z czarnego jedwabiu w czasie „pracy”, był Tancerz!

W tej chwili wtrąciła się pani Jaśmina.

- Syn pokazał mi ten skrawek jedwabiu i mogę powiedzieć, że to tkanina prawie niespotykana w dzisiejszych czasach: naturalny jedwab, farbowany także naturalnym barwnikiem.

- I to też się zgadza! - przytaknął listonosz. - Każdy, kto znał Tancerza, słyszał od niego przynajmniej raz, że zamawia swoje „ubrania robocze” u jednego z najlepszych krawców - Beaubourga i używa bardzo drogiego jedwabiu, ponieważ ma uczulenie na tkaniny syntetyczne.

- Nie można mieć już zatem żadnych wątpliwości - skomentowała Walentyna. -

Niezwykłe utalentowany złodziej, który zakłada ubranie z tak unikatowej tkaniny... Te wszystkie tropy prowadzą do Barnofsky'ego.

- Dokładnie tak - potwierdził kwaśno Wiktor.

- Nie potrzebuję niczego więcej - powiedział adwokat. - Ponad wszelką wątpliwość udało się powiązać kradzież u Parillauda z Tancerzem, więc śledztwo może być wznowione już na pewnym gruncie.

- Dobrze - włączył się znowu Leon. - Wystartujmy zatem ze śledztwem... Mecenasiu, chce pan powiedzieć, że zabójca Tancerza jest w jakiś sposób powiązany z kradzieżą portretu?

- Ja nie chcę nic powiedzieć, chłopcze - odpowiedział Janvier, chowając kciuki w kieszonkach kamizelki. - Ale to możliwość, której bym nie odrzucił.

Wtedy ktoś uderzył ręką o stół, aż wszyscy podskoczyli. To był Wiktor.

- Mecenas ma rację! - oświadczył. - Mnie ta sprawa też brzydko pachnie.

- Ach, tak? A czym pachnie? - zapytał Ludwik.

- Czymś dziwnym, jeśli chce pan wiedzieć.

- Może pan wyjaśnić? - poprosiła Nikola.

- Oczywiście, dziecko! Wiedziałem, że Tancerz wycofał się ze swojego fachu. Potem, z jakiegoś dziwnego powodu, zdecydował się powrócić do dawnej profesji i ukraść coś u przyjaciela Ludwika, następnie dziwnym trafem został znaleziony martwy kilka dni później. Jeśli więc wciąż wierzycie w jakiś zbieg okoliczności, to ja chyba już nie mam nic do powiedzenia...

Walentyna pokiwała głową.

- Wydaje mi się jednak, że ciągle mamy jeszcze za mało elementów tej układanki.

- To prawda - przytaknął młody antykwariusz. - Musimy dalej nad tym pracować.

Detektywi z zaułka Woltera spoglądali po sobie i wymieniali pełne wątpliwości spojrzenia.

- Proszę posłuchać, Wiktorze - powiedział w końcu adwokat Janvier. - Ma pan jeszcze różnych... powiedzmy: obrotnych znajomych, prawda?

Listonosz ograniczył się do przytaknięcia ledwo zauważalnym skinieniem głowy. Był to temat, którego wolał unikać, zwłaszcza na forum publicznym.

- Dobrze byłoby zadać kilka pytań przyjacielom Tancerza, żeby dowiedzieć się, co ostatnio robił i z kim się kontaktował.

- Tak zrobię - odpowiedział sucho i zwięźle Cormolles.

Dla wszystkich było jasne, że słowa te oznaczają koniec pełnego emocji zebrania.

Po zakończonym zebraniu w gabinecie Darbona Gaillardowie wrócili do domu nieco zmęczeni. Tymczasem Simona i Nikolę czekało odrabianie zadań na następny dzień do szkoły, a Walentyna musiała przywitać się z kuchnią i przygotować kolację.

Dzieci natychmiast zasiadły przy swoich biurkach i obłożyły się książkami i zeszytami. Jednak po każdym rozwiązaniem równaniu i po każdym zdaniu przetłumaczonym

na angielski patrzyły na siebie wymownie.

Nic nie można było na to poradzić: sprawa flamandzkiego portretu była tak ekscytująca, że trudno było skoncentrować się na czymkolwiek innym! Kiedy stało się jasne, że prace domowe muszą być odłożone na czas po kolacji, Simon przerwał milczenie.

- Nikolo, wiesz co... Powiedz, wczoraj się bałaś?

- Masz na myśli dom Barnofsky'ego? Cóż, kiedy zobaczyłam ten... ślad na posadzce...

- Ja wcale się nie bałam.

- Daj spokój, fanfaronie. Pamiętaj, że nie siedzi przed tobą Sandra i nie musisz odgrywać twardziela.

- To ty daj spokój! I odczep się od Sandry.;. Prawda jest taka, że kiedy tam byliśmy, pomyślałem, że ta plama na podłodze równie dobrze może być na przykład sokiem z wiśni. A potem, kiedy zajrzeliśmy do środka, widziałem tylko wielki bałagan w półmroku. Teraz, kiedy sobie myślę, że wśród tej sterty porzucanych rzeczy był prawdziwy trup... - Simon przerwał, wzrok miał nieobecny, wpatrzony w dal, za okno.

- Tak... To zdecydowanie najpoważniejsza sprawa, którą się zajmujemy od czasu założenia klubu detektywistycznego.

- Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

- Jeśli już o tym mowa - podjęła Nikola, a w głowie narodziła jej się nowa myśl. - Po wczorajszym telefonie Wiktora policja powinna już zajmować się sprawą zabójstwa Tancerza.

- Pod warunkiem, że telefonu nie odebrał Bruno - zażartował Simon.

Bruno był jednym ze współpracowników komisarza Gaillarda, a przy tym bezdyskusyjnie - numerem jeden w popadaniu w tarapaty i popełnianiu pomyłek.

- Nie, on nie przyjmuje zgłoszeń. A to znaczy, że...

-...że tata może już mieć jakieś interesujące informacje!

Spaghetti i tajemnice

- DOKŁADNIE!

Jednak w tym samym momencie Simon opadł na krzesło i spuścił głowę.

- Tak, ale przecież... Wiesz, jaki jest tata. Jeśli chodzi o jego pracę, to żeby coś wyciągnąć, trzeba byłoby użyć obciążników.

Nikola jednak właśnie wyczuła w powietrzu jakąś woń i na jej twarzy wymalowała się sprytna minka.

- Hmm... Może obciążniki to nie jedyne rozwiązanie...? Chodźmy do kuchni, jeśli jest tak, jak myślę... - nie kończąc zdania, poderwała się z krzesła i wybiegła z pokoju, a za nią jej brat.

Oboje wpadli do kuchni. Nikoli wystarczył tylko rzut oka na garnki, żeby odgadnąć, że miała rację: aromatyczny sos marynarski bulgotał w wielkiej patelni, garnek z wodą stał obok na kuchence, a na stole już leżała przygotowana paczka spaghetti.

- Dzisiaj kuchnia włoska, co, mamó? - zapytała głośno Nikola.

- Tak, spaghetti po marynarsku - potwierdziła Walentyna.

- Tata za nim przepada... - skomentował Simon, który właśnie zaczynał rozumieć.

- Co za zbieg okoliczności, prawda, Sim? - przytaknęła Nikola.

Matka odwróciła się i popatrzyła na nią. Starła się zrobić surową minę, ale jej oczy śmiały się wesoło.

- Czy coś insynuujesz?!

- Ja? Ależ nic. Jeśli coś, to tylko to, że jesteś wspaniałą żoną i przygotowujesz przysmaki dla swojego męża, który wraca do domu po ciężkim dniu na komisariacie...

- W rzeczy samej!

- A jeśli spaghetti będzie miało działanie, jak by to powiedzieć, rozwiązujące trochę język na temat nowego śledztwa, które właśnie prowadzimy, to...

Walentyna nie mogła się już powstrzymać i wybuchnęła śmiechem, co rozbawiło także jej dzieci.

W tej samej chwili hałas przy drzwiach obwieścił, że komisarz Gaillard wrócił do domu.

- Naprzód! Wszyscy na stanowiska! - zażartowała Walentyna.

Operacja Spaghetti została oficjalnie rozpoczęta.

- Co tam, rodzinko? Jakie plany na wieczór? - zapytał komisarz, wchodząc do kuchni, po tym jak rozwiesił kurtkę przeciwdeszczową na wieszaku w przedpokoju.

Ernest Gaillard używał tego wyrażenia tylko, kiedy był w humorze przynajmniej umiarkowanie dobrym. Początek był więc optymistyczny.

Nikoła i Simon podbiegli, aby uściskać ojca. Walentyna pocałowała męża i wszyscy razem zasiedli do stołu. Pierwsza część kolacji upłynęła wesoło. Komisarz poluzował węzeł krawata i zjadł grzankę z pasztetem, którą Walentyna postawiła na stole jako przekąskę. W małym telewizorze stojącym na szafce w rogu leciał teleturniej Statek ze złotem, którego uczestniczka uparcie postanowiła dawać jak najgłupsze odpowiedzi.

- Jak można odpowiedzieć, że maracana to marka cygar?! - skomentował komisarz.

- Wystarczy być Nikolą - szybko dodał Simon. - Czyli nie mieć pojęcia o piłce.

- Lepiej być mną niż tobą - odpowiedziała mu siostra. - Bo znasz się na piłce i na niczym więcej.

Teraz można już było powiedzieć, że to typowy wieczór w domu Gaillardów! Gdy tylko kłótnia między dziećmi ucichła, Ernest zapytał, co słychać w szkole. Dzieci jak zwykle odpowiadały ogólnikami.

Potem Nikola z miną niezdradzającą zupełnie niczego zapytała:

- A co słyszeć w pracy?

Pierwsza reakcja komisarza Gaillarda była taka jak zwykle: westchnienie i wzruszenie ramionami.

- To co zwykle...

Jednak dokładnie w tej samej chwili na stół wjechał półmisek ze spaghetti, wspaniale przybrany owocami morza. Oczywiście pierwsza sowita porcja wylądowała na talerzu komisarza.

Po włożeniu do ust pierwszego widelca, owiniętego pysznym makaronem, Ernest stał się bardziej rozmowny.

- Wiecie co? Czasem wydaje mi się, że ludzie w tym mieście robią wszystko, żeby uprzykrzyć życie policjantom.

- Co masz na myśli, skarbie?

- Mam na myśli to, że ludzie uwielbiają gmatwać sprawy. Na przykład właśnie dziś udało nam się rozwikłać sprawę kradzieży...

- I ty się skarżysz?

- Poczekaj! Rozwiązaliśmy ją, ponieważ znaleźliśmy skradziony przedmiot w domu sławnego złodzieja, który jednak sam leżał w tym mieszkaniu zamordowany, pytanie teraz: przez kogo...? A morał jest taki: rozwiązujemy sprawę małej kradzieży, a na barki spada nam morderstwo!

Nikola znieruchomiała z omułkiem w ręce. Tak samo Simon, który wlepił wzrok w ojca, a nitka spaghetti zwisała mu z ust.

Walentyna z drugiej strony stołu rzuciła dzieciom ostrzegawcze spojrzenie. Nikola i Simon w lot zrozumieli i pochylili się nad talerzami, udając, że nic się nie stało.

Pani Gaillard uznała z kolei, że nadszedł dobry moment na podanie drugiej porcji spaghetti po marynarsku.

- Wydawało mi się, czy powiedziałaś „sławny złodziej”? - zapytała.

- Tak właśnie powiedziałem, kochanie - potwierdził komisarz, zajądając się ośmiorniczką. - Jeden z tych złodziei starej daty, wiesz. Tych, którzy uwielbiali głośne, zuchwałe kradzieże... Pomyśl, że w swoim środowisku był znany pod pseudonimem „Tancerz” ze względu na swoje umiejętności akrobatyczne.

Gdy usłyszeli ten przydomek, Walentyna i dzieci znowu wymienili błyskawiczne spojrzenia. Mało brakowało, a mogłyby one ich zdradzić.

- Cóż, przynajmniej znaleźliście skradziony przedmiot. Co to było? - zapytała Nikola, udając, że bardziej interesuje ją teleturniej niż rozmowa przy stole.

- To dopiero! Mało znaczący portrecik, który kilka dni wcześniej został skradziony w jednej z galerii sztuki. Jakby tego było mało, został odnaleziony z połamaną ramą!

W tym momencie Simon aż podskoczył na krześle, zakrztusił się krewetką i zaczął kaszleć jak szalony.

- Coś takiego, moja droga! Nie wiedziałem, że Sim aż tak przejmuje się sztuką!

- Nasz syn ma wiele ukrytych zalet - wyjaśniła Walentyna, starając się nie wybuchnąć śmiechem.

- Tak... wprost doskonale ukrytych - zauważyła Nikola.

W innej sytuacji rodzeństwo Gaillard znowu zaczęłoby sobie dogryzać, ale sensacyjna wiadomość o odnalezieniu zniszczonego obrazu w domu Tancerza była jedyną rzeczą, która zaprzętała ich umysły. Kiedy tylko w pośpiechu pochłonęli resztę spaghetti i skończyli kolację, ruszyli do swojego pokoju z komórkami w rękę. Pod numerem 11 przy zaułku Woltera znowu zapowiadał się niespokojny wieczór!

Gdy zadzwonił budzik w mieszkaniu na trzecim piętrze, z łóżka Simona dobiegło tylko głośne ziewnięcie. Chłopiec wyciągnął jedną rękę spod kołdry, próbując namierzyć budzik, w końcu Nikola musiała wstać i uciszyć natarczywe urządzenie. Wtedy ramię Simona z powrotem się schowało i w cały pokój znów pogrążył się w ciszy.

Kiedy już wstała, z włosami domagającymi się uczesania i zaspanymi oczami, Nikola zadała bratu pytanie, czemu zawdzięcza ten powrót do normalności.

- Żadnej Sandry dzisiaj? - rzuciła w stronę bezkształtnej postaci okrytej szczelnie kocem. - Hej, do ciebie mówię, fenomenie wczesnego wstawania!

- Która godzina? - wymamrotał brat.

- Najwyższa pora, żeby się przygotować do wyjścia - odpowiedziała Nikola i wyszła do łazienki.

Kiedy wróciła, Simon siedział na brzegu łóżka ze zwisającymi nogami i głową opartą na rękach. Nie zwróciła na niego uwagi i poszła do kuchni.

- Nikoła...

- Cześć, mammo!

Trochę kakao i kromka posmarowana marmoladą sprawiły, że dziewczyna od razu poczuła się lepiej. Jej teczka, przygotowana poprzedniego wieczoru, czekała obok drzwi wejściowych.

- Nie widziałam dziś jeszcze Simona - zauważyła mama.

Wtedy usłyszały hałas książek, które spadały z różnej wysokości na podłogę.

- Dziś jest trochę spóźniony...

Pani Gaillard uniosła tylko brwi do góry.

- Co czytasz? - zapytała ją córka, oblizując końcówkę kciuka ubrudzonego

marmoladą. Wyciągnęła rękę, żeby wziąć gazetę, którą matka trzymała przed sobą. - Jest w

niej twój artykuł?

- Tak, w środku.

- O czym?

- O spektaklach i paryskich artystach, nic szczególnego.

- Mówisz naprawdę czy tylko nie chcesz, żebym go przeczytała?

Nikola zaczęła przeglądać tygodnik. Połyskujący ekskluzywny papier został użyty do wydrukowania błahych, nieistotnych informacji - były tam głównie reklamy. Zamknęła gazetę, po to by zacząć ją przeglądać od środka (czego pani Gaillard szczerze nie lubiła), i szybko znalazła artykuł matki opatrzony małym zdjęciem Walentyny.

Na stronie obok znajdowała się reklama flakonika perfum, który wydawał się skrzyżowaniem klejnotu i greckiej kolumny. Na tle zachodu słońca, gdzieś w egzotycznym miejscu modelka leżąca na grzbiecie tygrysa wylewała sobie kroplę tych perfum na rękę.

Do kuchni akurat wszedł Simon.

- Dzień dobry, Sim!

Simon chrząknął.

- Zjesz z nami śniadanie?

Chrząknięcie, odsunięcie krzesła.

- Chcesz trochę kakao?

Simon zagarnął garść herbatników i zaczął je chrupać.

- Co z Sandrą? - zainteresowała się nagle Nikola.

Brat natychmiast przestał przeżuwać.

- Dlaczego pytasz o Sandrę? - zapytał głosem osoby ledwo obudzonej ze snu.

- To cud! - powiedziała Nikola. - On się odezwał! Mój brat potrafi jeszcze mówić!

Walentyna wstała z krzesła.

- Jadę do redakcji. A wy pospieszcie się, jeśli chcecie dotrzeć do szkoły na czas.
- Dziś Sandry nie ma w szkole. Ma urodziny i pojechała do kuzynów do Normandii.
- I wszystko jasne!

Walentyna uśmiechnęła się. Od razu domyśliła się, że problemem Simona w mniejszym stopniu była nieobecność jego sympatii, ale raczej... jej urodziny.

I miała rację...

- Siostra, posłuchaj - zaczął Simon po lekcjach.

- O co chodzi?

Zawahał się przez ułamek sekundy.

- Najpierw obiecaj, że nikomu nie powiesz.

- Obiecuję - odparła Nikola. Simon ruszył w stronę domu.

- Chodzi o to... - powiedział po paru nastu krokach - że muszę znaleźć coś fantastycznego.

Nikola przytaknęła:

- Na urodziny Sandry?

- Tak. Kiedy wróci... ja... chciałbym jej coś podarować... ale nie wiem co, rozumiesz?

Coś, co wam.. W sumie...

- Co podoba się dziewczynom?

- Właśnie.

- Czekał, czekał. Pierwsza istotna informacja: jaka jest ta Sandra?

- Jest fantastyczna! Nikola westchnęła.

- Fantastycznie wysoka czy fantastycznie niska?

- W jakim sensie?

- Jest wyższa czy niższa od ciebie?

- Wyższa!

- Hmm... - Nikola pokręciła głową.

- O co chodzi? - zaniepokoił się Simon.

- O nic...

- Nieprawda. Znam cię. Coś sobie pomyślałaś.

- Cóż, tak... Jesteś pewny tej Sandry...? To zna czy... jesteś pewny, że się jej podobasz?

Simon wytrzeszczył oczy.

- W jakim sensie? - zapytał po raz drugi.

- Ona ci to powiedziała?

- Jasne, że nie. Nigdy nie rozmawialiśmy!

- A słynne pióro, które ci pożyczyła?

- Ja ją poprosiłem. Ona odpowiedziała „tak” i dała mi je.

- Czyli to prawdziwa miłość - zażartowała siostra.

Simon był tak zamyślony, że żart siostry spłynął po nim jak po kaczce.

- Chcę dać jej prezent... który byłby doskonały, rozumiesz? Ale nie mam bladego pojęcia, co by to mogło być.

Nikola przytaknęła z zapalem.

- Jasne. W takim razie inne pytanie: ile zamierzasz wydać?

Simon podał jej dokładną sumę, łącznie z centami. Potem odjął od kwoty jedno euro, żeby móc kupić sobie bilet powrotny na metro.

- Ojej, Sim! - wykrzyknęła Nikola, którą zaskoczyła taka szczodrość brata. - W takim razie nie ma lepszej rady, niż natychmiast pójść na zakupy na Pola Elizejskie.

Niekończąca się aleja butików była ciągiem witryn sklepowych, których przepych

kusił i przyciągał wzrok. Nikola zaciągnęła Simona do sklepu z ubraniami, wyszukiwała spódniczki, bluzeczki z małymi kwiatkami i dzinsy specjalnie uszyte z dziurami na kolanach, po to, by w końcu brat stwierdził, że Sandra nie ubiera się w taki sposób. Przyszedł czas na sklep sportowy, gdzie dokonali przeglądu kostiumów kąpielowych, strojów do tenisa, raket do squasha i liczników kilometrów dla uprawiających jogging. Wtedy Simon wyznał, że Sandra nie jest raczej typem sportowki. U jubilera wszystko przekraczało zaplanowany limit wydatków chłopca. Po dwóch godzinach, wycieńczeni, poddali się. Właśnie wtedy, gdy wydawało się, że w całym Paryżu nie ma odpowiedniego prezentu dla Sandry, Nikola podniosła wzrok i ujrzała szyld perfumerii.

- Ze też nie pomyślałam od razu! - zawołała. - Możesz podarować jej perfumy!

- Te nie!

- Nie ma mowy!

- Pachną sfermentowanym miodem!

Nikola siedziała na czerwonym taborecie, kiedy jedna ze sprzedawczyń, powoli okazująca zniecierpliwienie, spryskiwała kolejnymi perfumami albo nadgarstek Simona, albo kawałek papierka, który potem podtykała mu pod nos.

- No, Sim! - zniecierpliwiała się Nikola podczas dwudziestej próby. - Podejmij wreszcie decyzję! Niemożliwe, żeby żadne ci się nie spodobały!

- Może te? To Fontanna Radości! - oznajmiła sprzedawczyni.

Simon wciągnął głęboko powietrze, natychmiast zatkał nos i wyburczał:

- Fontanna Radości, tak, bo radośnie wykąpał się w niej pies!

Ekspedientka drgnęła, jakby poraził ją prąd od palców u nóg po końcówki włosów.

Natychmiast szybkim ruchem zabrała poperfumowany kawałek papieru.

- Simonie!

- Możesz lepiej ty wybierz? Dla mnie wszystkie są za słodkie!

Nikola wstała z krzesła, mrugając do sprzedawczynie w geście kobiecego porozumienia.

- Proszę mu wybaczyć. Po raz pierwszy kupuje perfumy.

- I ostatni - burknął Simon.

Nikola powąchała perfumy, które Simon określił jako „nie do powąchania”, i wybrała trzy, które wydały jej się odpowiednie. W tym momencie dostrzegła na witrynie znany obrazek: perfumy w oryginalnym opakowaniu, z modelką leżącą na grzbiecie tygrysa.

- A czy ma pani tamte? - zapytała uprzejmie ekspedientkę.

Ta odwróciła się, spojrzała na reklamę i uśmiechnęła się.

- Wiatr ze Wschodu? Och, nie! Jeszcze się nie pojawiły w sprzedaży!

- Szkoda. *

- Ale jest już niekończąca się lista zamówień - oświadczyła kobieta. - Wydaje się, że będą to perfumy stulecia firmy Faure!

- Perfumy stulecia? - powtórzyła Nikola, wyraźnie wymawiając te dwa słowa i próbując nadać im właściwy sens.

- Dlaczego nie? Może są na bazie ropy? - wtrącił się tymczasem brat. - Posłuchaj,

Nikolo, możemy wybrać jedno i koniec?

- Te - zdecydowała siostra.

- Doskonały wybór - potwierdziła sprzedawczynie, szybko zabrała flakonik i w rekordowym tempie zapakowała zakup. - Na pewno się spodobają!

Simon przeliczał każde euro z osobna i układał je na ladzie, jakby były to krople jego własnej krwi. Potem zabrał torebkę z czerwoną kokardą i wyszedł ze sklepu, ponury jak chmura burzowa.

- Perfumy... perfumy... - powtarzała sobie Nikola. - Mam jakieś dziwne przeczucie...

- Ja też! Jesteś pewna, że to dobry wybór? - zapytał Simon.

- Nie w tym sensie! Wiesz, jak to jest, kiedy wydaje ci się, że masz coś tuż pod nosem, ale tego nie dostrzegasz?

- Nie - przyznał szczerze Simon.

- Ależ oczywiście! Perfumy! - wykrzyknęła dziewczyna na pierwszym stopniu wejścia do stacji Łuk Triumfalny paryskiego metra.

- Są tutaj - odpowiedział Simon, podnosząc do góry torebkę.

- Nie te! W domu Tancerza - Nikola mówiła dość chaotycznie. - Nie... Nie pamiętasz?

Kiedy Cormolles otworzył drzwi do mieszkania Tancerza... nagle poczułam zapach... To były perfumy o mocnej korzennej nucie...

Simon zastanowił się przez chwilę.

- Prawdę powiedziawszy - przyznał - ja nie poczułem żadnego zapachu...

Po chwili z roztargnieniem włożył rękę do kieszeni i nagle wykrzyknął:

- Auć!

Ukłuło go coś bardzo małego, z ostrą końcówką, ukrytego w głębi jego kieszeni.

Tamtego dnia pod numerem 11 przy zaułku Woltera czuć było woń, której nie dało się pomylić z niczym innym. Słodki zapach, który opanował całe mieszkanie zmarłego detektywa Gustawa Darbona, przechodził pod drzwiami i opanowywał wszystkie pokoje, jakby chciał je obudzić z uśpienia.

- To prawda, że w tej historii zapach jest ważny... - mówił mecenas Janvier, który poczuł coś szczególnego w powietrzu w zielonym gabinecie.

- Tak, przede wszystkim jeśli jest to zapach bezy - zwrócił jego uwagę Cormolles, kołyszący się na krześle.

Drzwi zielonego gabinetu otworzyły się, aby umożliwić wejście zdyszanemu

Ludwikowi, taszczącemu plik dokumentów. Za nim szła jego matka, która niosła dużą srebrną paterę z ułożonymi w piramidę bezami.

- Co za cudo! - zawołała Walentyna siedząca przy stole. - Ależ nie musiała pani, pani Jaśmino!

- Kto tak powiedział? - odezwał się Simon, rzucając głodne spojrzenie na paterę.

- To głupstwo, moi drodzy - zapewniła ich pani Jaśmina, ustawiając bezy na środku stołu. - To tylko przekąska, odrobina energii dla naszych mózgów... Myślę, że się przyda.

- Przyjrzyjmy się tej przekąsce!

- Na górze są też pokruszone pistacje!

- I kakao!

- Proszę się częstować, drodzy państwo... Simon i Ferdynand chwycili tę samą bezę, która była wyraźnie większa od pozostałych. Mecenas ustąpił pierwszy, wyraźnie speszony faktem rywalizowania o słodycze z dwunastolatkiem. Ale Simon nalegał, że to on odda ogromną bezę.

- Brawo, chłopcze! - pochwalił go adwokat, przewyciężając początkowe zawstydzenie. I zabrał się za swoje ciastko.

- Nie powinniśmy chwalić Simona jedynie za to - powiedział Ludwik, kładąc swoją bezę na talerzyku i dzieląc ją na części.

- No właśnie... - powiedziała Nikola. - Może się okazać, że Sim znalazł klucz do rozwiązania naszej zagadki.

- Wspaniale! Wspaniale! - powiedział mecenas Janvier, ale nie było do końca pewne, czy jego słowa odnoszą się do Simona, czy do pokruszonych pistacji na wypieku pani Jaśminy.

- W rzeczywistości zapomniałem o tej rzeczy... - wyznał Simon. - Aż do czasu, jak mnie ukuła dziś po południu - otarł usta serwetką.

Wszyscy patrzyli na niego z niecierpliwością; właściwie nikt jeszcze nie widział słynnej spinki do mankietów.

Ponieważ przekąska właśnie się kończyła, syn pani Jaśminy potarł pośpiesznie ręce i zapytał:

- Możemy ją zobaczyć?

- Oczywiście! - odpowiedział Simon. Włożył jedną rękę do kieszeni i wyjął z niej coś owiniętego w papier, przedmiot wielkości orzecha włoskiego.

- Ojej! - westchnął młody antykwariusz.

- Spójrzmy...

- Poczekajcie, zrobię trochę miejsca między talerzami...

- Niech pani położy paterę tam, pani Jaśmino, o właśnie tak.

- Może chce pan jeszcze zagrać w kółko i krzyżyk, mecenasie?

- Cormolles, proszę się nie unosić, tylko spojrzeć na to, co chce nam pokazać ten młody człowiek.

Simon uklęknął na krześle - w ten sposób mógł sięgnąć na środek stołu. Rozpakował małe zawiniątko, które trzymał. Skrywało ono elegancką złotą spinkę do mankietów, okrągłą, z niewielką pinezką z boku. Na spince była wygrawerowana duża litera „F”.

- Ależ to... spinka do koszuli!

- Rzecz z epoki dinozaurów - skomentował Leon. - Czy jeszcze ktoś je nosi?

Mecenas Janvier z dumą pokazał swoje.

- Uważaj, do kogo mówisz. Elegancja nigdy nie wychodzi z mody.

- Zatem zgodzi się pan ze mną, że ta spinka jest wyjątkowo elegancka - powiedziała

Walentyna.

- Proszę mi to podać, pani Gaillard.

Spinka szybko przechodziła z ręki do ręki, aby zakończyć wędrówkę pod badawczym spojrzeniem Janviera.

- Tak, wspinała. Doskonały kształt. Nie jestem ekspertem od spinek, ale nawet bez pytania mojej żony o opinię zgodzę się z panią. To nie jest rzecz, która należy do byle kogo.

Klejnot znowu szybko okrążył stół, w końcu wrócił do Simona.

- Prawdopodobnie King Ellerton rwałby sobie włosy z głowy - zauważył Ludwik - widząc, w jaki sposób zatarliśmy odciski palców, przekazując sobie teraz spinę z rąk do rąk.

- Ach, teraz to już żaden problem! - zapewniła go Nikola. - O to zadbał już Simon, kiedy wyłowił ją z kieszeni spodni dziś po południu. Mało brakowało, a byłby ją roztrzaskał na kawałki.

- Ukłuło mnie to... - wyjaśnił Simon, wskazując małą pinezkę, która wystawała po wewnętrznej stronie spinki.

-...hmm są więc teraz na niej też ślady twojej krwi! - zauważył Leon. - Musisz uważać, żeby nie znalazł jej twój ojciec.

- Ważne jest, aby ustalić - podjął na nowo Ludwik

- co spinka robiła w kieszeni twoich spodni.

- To były te same spodnie, które miałem na sobie, kiedy poszliśmy do Tancerza - wyjaśnił Simon.

- Gdy postanowiliśmy wyjść, tuż za drzwiami nadepnałem na coś i włożyłem to do kieszeni, a potem o tym zapomniałem. Chciałem tylko sobie stamtąd pójść. To miejsce było bardzo dziwne!

- Nie tylko atmosfera była dziwna... - dodała Nikola - ale także zapach! Był

intensywny... Panie Cormolles, pan go nie czuł?

Wszyscy spojrzeli na listonosza, który zmrużył oczy tak, że wielkością przypominały główki od szpilki.

- Zapach... Kiedy to mówisz, przypominam sobie, że kiedy otworzyłem drzwi mieszkania, otoczył mnie mało przyjemny, słodkawy zapach...

- Właśnie - potwierdziła Nikola. - Ale bardziej niż słodkawy, powiedziałabym: korzenny...

- Zatem zapach męskich perfum? - zapytała Walentyna.

- Jestem prawie pewna, że tak - przytaknęła NiW tym momencie Simon podniósł spinkę.

- Mogę się założyć, że to zapach perfum naszego nieuważnego elegancika!

- To jasne, że tego dnia nieomal wpadliście na zabójcę - zauważył adwokat Janvier. - Mężczyznę, który nosi eleganckie spinki i używa wyjątkowych perfum. Ktoś ma jakiś pomysł?

Cormolles podniósł rękę.

- Proszę mi podać bezę, mecenasie, zanim zje pan je wszystkie.

- Zapach, zapach... To dziwne, jak ciągle wraca w tej historii... - rozmyślał głośno syn pani Jaśminy.

- Co ma pan na myśli? - zapytała go Walentyna.

Antykwariusz zaczął przeglądać swoje papiery.

- To może tylko zbieg okoliczności, obawiam się... ale właśnie dowiedziałem się od mojego okradzionego przyjaciela, kto był ostatnim właścicielem kolekcji sztuki, w skład której wchodził skradziony portret.

- Kolekcji, która teraz wyleciała do Japonii?

Ludwik przytaknął.

- Dokładnie. Dopiero co wyleciała. To także ciekawe: kradzież na dzień przed transportem... To powinno nam dać do myślenia.

- Złodziej wiedział, że kolekcja opuści Paryż...

-...i pojedzie daleko, do domu pana Fuji. Tak... Zatem ten, kto zlecił kradzież, wiedział, że musi się kochać.

- spieszyć... Ale wracając do zapachów, poprzednim właścicielem obrazu był niejaki...

- syn pani Jaśminy odszyfrował ze swojej kartki: - Albert Rastuvier, legendarny perfumiarz żyjący na przełomie XIX i XX wieku.* ‘

Ośmioro detektywów wymieniło spojrzenia niczym gracze na loterii w momencie ogłoszenia szczęśliwego numeru.

- A więc? - zapytał w końcu Leon.

- W tej chwili nie wiem - odpowiedział antykwariusz.

- Rastuvier... Zapach... Początek XX wieku... - powtórzył Leon, zapisując słowa na kartce papieru. - Dziś wieczorem poszperam trochę w Internecie na stronach ze starociami.

Może na coś wpadnę.

Pękła kolejna beza mecenasa Janvier, spadając jak dowód zbrodni na jego talerz.

Adwokat trzymał dwie części w ręce i patrzył na krem, uśmiechając się.

- Ależ oczywiście! - powiedział, bardzo z czegoś zadowolony. - Teraz to jasne!

- Co jest jasne?

- To, że pobrudził pan sobie koszulę, mecenasie?

Biały Gołąb powoli odłożył resztki bezy na talerzyk, tak żeby nie przykleiły się do niego kremem, i dodał:

- Jak mogłem nie pomyśleć o tym wcześniej?

Javier złożył z powrotem bezę w całość i powiedział, wyraźnie z siebie zadowolony:

- Otóż i ona, znowu cała. Dwie skorupki są pojemnikiem na krem, a krem je spaja i tak wszystkie trzy części tworzą bezę.

- Cormolles radził panu, żeby poprzestać na dwóch ciastkach, panie Janvier... -

powiedział syn pani Jaśminy. - Może trzeba było go posłuchać? Chyba za bardzo podniósł się panu poziom cukru.

- Adwokat, który słucha kogokolwiek innego? - zaśmiał się listonosz. - Zazwyczaj zupełnie im wystarcza ich wewnętrzny głos...

- Istotnie, już od kilku dni mój wewnętrzny głos, jak go pan nazywa - odpowiedział stary książe sali sądowej - mówił do mnie o tym portrecie bez większej wartości, ukradzionym przez zawodowego emerytowanego złodzieja, tuż przed tym, jak miał przemierzyć pół świata i stać się własnością nieznanego japońskiego kolekcjonera. Głosik mi podpowiadał: „Pomyśl, Janvier, pomyśl. Co może być w nim takiego ważnego?”. Podniósł do góry bezę i dodał: - Oczywiście to.

- Proszę nas nie trzymać w niepewności, mecenasie!

- Nasz błąd polegał na tym, że cały czas uważaliśmy obraz za jedność. Jak całą bezę.

Zastanawialiśmy nad jednym malowidłem namalowanym na poprzednim, ale człowiek, który zamordował Tancerza, nasz tajemniczy elegant bez jednej spinki za tysiąc euro i miłośnik słodkich zapachów...

- Korzennych - poprawiła Nikola.

- Korzennych, racja... Otóż kiedy już wywrócił do góry nogami mieszkanie Tancerza i znalazł obraz, zabił złodzieja, a portret połamał. Dlaczego?

- Ponieważ się pokłócili? - podsunęła rozwiązanie Nikola.

- Fakt, że mieszkanie zostało niemal zdemolowane - powiedział tymczasem młody

antykwariusz - pozwala myśleć, że obraz był schowany. I że nasz pan od spinki i perfum musiał go szukać.

- Szukał obrazu wszędzie, w pośpiechu. Być może po tym, jak pozbawił życia Tancerza.

- Wiemy przynajmniej, jak Barnofsky zginął?

- Od strzału z pistoletu małego kalibru - odpowiedziała Walentyna. A potem, jakby chcąc wyjaśnić, dodała: - Mój mąż zapisał kilka rzeczy w notesie...

- Strzał z pistoletu małego kalibru. Doskonale - rozmyślał głośno Janvier.

- Może broń należała do jakiejś kobiety? - podsunął hipotezę Leon.

- Albo faceta, który nie jest przyzwyczajony chodzić z bronią - powiedział Simon.

- No właśnie... - dodał młody antykwariusz.

- Ale dlaczego nikt w kamienicy nie zauważył, co się tam działo? - zapytała pani Jaśmina.

- Poprzedniego wieczoru było święto dzielnicy, ze sztucznymi ogniami i petardami.

Nikt nie zwrócił uwagi na strzał - wytłumaczył Simon.

Janvier dodał:

- Zatem nasz podejrzany idzie do Tancerza i ci dwaj kłócą się. Złodziej nie chce oddać obrazu, sprzeczka przemienia się w awanturę i Tancerz zostaje zamordowany strzałem z pistoletu.

- Być może przypadkowo... - zasugerowała Walentyna.

- Być może, kto wie. Morderca zaczyna przetrząsać dom, szukając wszędzie portretu, którego złodziej nie chciał mu oddać. Znajduje go, wyciąga nóż i... wycina płótno z ramy, a tę łamie. Ale według mnie robi nie tylko to... Pani Jaśmino, czy przypomina sobie pani Tajemnicę damy w welonie Kinga Ellertona?

Kobieta spojrzała na niego uważnie.

- Oczywiście... To ta historia o testamencie, który... Ach, naturalnie!

- Właśnie - potwierdził Janvier. - Proszę kontynuować.

- W tej książce wydaje się, że ktoś eliminuje wszystkich spadkobierców damy w welonie, aby przejąć spadek po niej, ale w rzeczywistości wcale tak nie jest. Winny jest majordomus, któremu starsza pani zapisała tylko jakiś jeden drobny przedmiot.

- Obraz! - wykrzyknęła Nikola, która niespodziewanie przypomniała sobie powieść Ellertona.

- Obraz, w którym jednak nie było ważne samo płótno - podjęła wątek pani Jaśmina - ale rama, a raczej kluczyk do sejfu ukryty w ramie.

- Czyli rama! - wykrzyknęli wszyscy wokół stołu w zielonym gabinecie.

- Dokładnie tak, rama! - powiedział triumfująco mecenas Janvier. - Jesteśmy tak przyzwyczajeni do myślenia o obrazie jako o jedności, że często zapominamy sprawdzić elementy, które go tworzą... Jak rama... - podniósł skorupkę bezy. -...i płótno. - Położył połówkę bezy na kremie. - Oto wyjaśnienie tego, co przed chwilą przyszło mi do głowy. Simon wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

- Co za zagmatwana historia! - powiedział.

- Uściślijmy, co wiemy o ramie obrazu? - zaproponowała Nikola.

- Tak! Co o niej wiemy?

- Wydaje mi się, że zupełnie nic - odpowiedział Cormolles.

- Mamy zatem kolejną część układanki do dopasowania... - Leon zwrócił się do

Ludwika: - Czy kiedy obraz został skradziony z magazynu pana przyjaciela, miał ramę?

Młody antykwariusz zauważył, że wszyscy patrzą na niego uważnie.

- Coś sugerujecie?

- Coś ci mówi nazwisko Parillaud?

- Jasne... Mogę spróbować zapytać go o to.

- Dobry pomysł, synu - powiedziała pani Jaśmina.

- Przyniosę ci telefon! - zawołał Simon.

W ciągu kilku następnych chwil Ludwik próbował odszukać numer telefonu

marszanda w swoim notesie. Kiedy już znalazł, podyktował go Simonowi, dwukrotnie się myląc. W końcu wziął słuchawkę i przystawił ją do ucha. Na chwilę przy stole zapadła nieprawdopodobna cisza.

- Halo...? Henryk? Tak, witaj... Tutaj Ludwik. Właśnie... tak. Ludwik ze sklepu z antykami, oczywiście! Jak nie...? Pewnie, że ją pozdrowię... - zakrył słuchawkę ręką i pozdrowił matkę, która pokazała mu gestem, żeby się pospieszył, jakby mówiła: „Przejdź do sedna”.

- Chciałem cię o coś zapytać... O tę kradzież sprzed kilku dni, wiesz? Ech... Pewnie, że już masz dość tej historii... Tak... Dobrze... Więc wszystko już poleciało do Japonii... Doskonale...

- Pospiesz się, Ludwiku, bo nas tu noc zastanie!

Antykwariusz próbował kilka razy nawiązać do sprawy ramy w rozmowie z Parillaudem, ale nie było to łatwe, jednak po kilku próbach udało się.

- Chciałbym wiedzieć, czy obraz Dziewczyna w czerwonym czepku miał ramę, kiedy został skradziony, czy było tylko samo płótno?

Wszyscy detektywi nadstawili uszu, jakby próbując usłyszeć odpowiedź.

- Nie pamiętasz?

Chwila rozczarowania. Potem Ludwik podniósł znacząco palec.

- A na zdjęciu, które masz, jak wygląda? Oczywiście... Zaczekam... Żaden... I jak? -

twarz młodego antykwariusza rozpromienił szeroki uśmiech. - Jest z ramą? Dobrze. Dzięki.

Zobaczymy się na obiedzie u Cedrica. Może w przyszłym tygodniu, zgoda! - odłożył

słuchawkę i spojrzał na pozostałych. - Rama była - oznajmił triumfalnie.

- Zatem obraz został ukradziony z ramą, a następnie...

- Teraz moja kolej - uśmiechnęła się Walentyna, biorąc telefon prosto z rąk Ludwika, który jak zwykle zaczerwienił się.

- Do kogo dzwonisz, mamó?

- Bądźcie przez chwilę cicho, proszę.

Walentyna wykręciła numer i poczekała kilka sekund, potem słysząc już tylko było potok słów:

- Cześć, Bruno! Jest mój mąż? Ach, jest zajęty? Jaka szkoda! Nie... nic... Chciałam tylko powiedzieć mu, że przygotowałam pyszną zapiekankę z serem i grzankami na kolację i zastanawiam się, o której wróci do domu. A może miałbyś ochotę do nas wpaść? Tak, byłoby wspaniale. Ach tak... Nadal pracujecie nad tą historią zamordowanego złodzieja? A co się stało w ogóle z ramą tego obrazu? Jak to: jaką ramą? Mąż opowiadał mi, że znaleźliście pocięte płótno i potrzaskaną ramę. Co...? Nie było żadnej ramy? Przedziwna historia, nie uważasz? Przypomina jedną z tych

Strzał z pistoletu opowieści Kinga Ellertona! - żona komisarza odłożyła słuchawkę i zaczęła podsumowywać zdobyte właśnie informacje: - Rama została zatem skradziona dwa razy. Pierwszy raz od Parillauda, razem z portretem. Drugi raz z mieszkania Tancerza, już bez obrazu.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Leon.

Pani Jaśmina pierwsza wstała od stołu.

- Zrobimy to, co zrobiłby stary dobry Ellerton: rozejdziemy się do domów i zaczniemy

główkować!

Następnego dnia w porze obiadu Ferdynand Janvier wolno podniósł dłoń i przyłożył ją sobie do skroni. Na twarz przywołał wyraz bólu i trwał w takiej pozycji, dopóki żona i szwagierka, które siedziały po drugiej stronie stołu, nie zwróciły na to uwagi.

- Co się dzieje, Ferdziu?

- Nie czujesz się dobrze?

Księżę sali sądowej nie mógł czuć się dobrze: na stole przed nim stała okropna zupa kalafiorowa szwagierki o dziwnej konsystencji, w dodatku o duszącym zapachu. W mieszkaniu wszędzie były poustawiane kwiaty, w telewizji leciał jakiś stary czarnobiały romans kostiumowy, a na dodatek biały piesek wylegiwał się na wypastowanych mokasynach adwokata.

- Jak on się do ciebie przywiązał, mój kochany! - wykrzyknęła szwagierka, próbując nakłonić psa do opuszczenia stóp Janviera za pomocą kawałka opiekanego chleba.

- Istotnie... Obawiam się, że nie czuję się najlepiej, moja droga... - powiedział słabym głosem mecenas, przenosząc rękę ze skroni na brwi i zasłaniając lekko światło, jakby chciał pokazać, że sprawia mu ono dodatkowy ból. - Może to przez restaurację z przedwczoraj...

- Ale przecież nie poszliśmy do restauracji!

- Właśnie. Być może gdybyśmy tam poszli...

- Zjedz trochę zupy kalafiorowej, Ferdynandzie... - zaproponowała szwagierka. Za każdym razem, gdy poruszała ręką, jej bransoletki brzęczały i dzwoniły. - Jest doskonała na żołądek.

- Pewnie masz rację, ale nie mam apetytu... Zaczynam przypuszczać, że to coś poważniejszego niż zwykły ból żołądka. Zdecydowanie! - Janvier nagle podniósł się z krzesła. - Lepiej będzie, jeśli pójdę do lekarza!

Jego żona uniosła narysowane kredką brwi.

- Akurat teraz?

- Myślę, że lepiej tego nie odwlekać! Wpadnę do gabinetu i każę sobie natychmiast coś przepisać.

Adwokatowi udało się już dotrzeć do wieszaka na ubrania, który stał tuż obok drzwi wejściowych.

- Ferdziu...

- Mój drogi...

- Zobaczymy się w domu, jeśli Bóg pozwoli! - pożegnał się Biały Gołąb paryskich sądów, zamykając za sobą drzwi. Kiedy był na zewnątrz, spojrzął na zegarek. Na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech.

- Taksówka! - zawołał. - Do Petit Canard, szybko! - siedząc na tylnym siedzeniu, odwrócił się jeszcze, żeby spojrzeć na swoją kamienicę i mieszkanie tymczasowo okupowane przez szwagierkę. Wydały mu się ciemne, smutne i surowe: zupełnie jak jej zupa kalafiorowa.

- Proszę zatrzymać resztę! - powiedział do taksówkarza, kiedy dojechali na miejsce. Wsiadł, zamknął drzwi i jego wzrok spotkał się ze spojrzeniami młodych przyjaciół, którzy siedzieli na swoim ulubionym miejscu, przy stoliku obok witryny naleśnikarni. Wchodząc, ściągnął płaszcz przeciwdeszczowy, po czym dostawił sobie krzesło.

- Mecenasiu!

- Nie myśleliśmy, że się panu uda!

- Dzieci... Leonie... Zatem co udało się wam odkryć?

Artystahaker z poddasza miał przed sobą kilka wydruków.

- Dzięki nowemu miejscu, o którym mi pan powiedział, znalazłem mnóstwo informacji.

Do stolika podeszła kelnerka, na którą Janvier spojrział jak szakał na królika.

- Dzieciaki, czy już coś zamówiłyście...?

- Dla nas, mecenasie, tylko naleśniki z czekoladą!

- Doskonale. Ja natomiast... - wzrok drapieżnika szybko odczytał danie dnia na tablicy

zawieszanej nad ladą. - Poproszę zapiekankę ziemniaczaną z tuńczykiem, na słodkich

papryczkach, salaterkę z kawałkami perliczki z jabłkami i zieleń bylicy. Do tego

spróbowałbym, jeśli jeszcze są, pieczone przepiórki nadziewane figami z musztardą

winogronową. To wszystko! - adwokat zaczął z zadowoleniem pocierać dłonie i od razu

włożył sobie serwetkę za kołnierzyk koszuli.

- Wreszcie jakieś przyzwoite jedzenie! Na czym stanęliśmy, Leonie?

- Na tym nowym miejscu: czytelnicy czasopism, o której mi pan powiedział po

wczorajszym zebraniu.

- Czytelnia czasopism? - zapytał Simon.

- Tak, czytelnia i biblioteka.

- Właśnie - powiedział Leon. - Znalazłem całkiem sporo wiadomości, szczególnie na

temat naszego Rastuviera odkryłem kilka ważnych rzeczy.

- Kieliszek chablis, dziękuję! - krzyknął Janvier do kelnerki.

- No, Leon, opowiadaj! - zachęciła kolegę Nikola.

- Mecenas tak czy owak nas słyszy.

- Rastuvier pochodził ze stolicy perfum, z Grasse w Prowansji.

- Racja, to samo powiedział Parillaud! - przypomniała sobie Nikola.

- Na początku zeszłego wieku jego fabryka, nosząca zresztą nazwisko właściciela,

była uważana za jedną z najlepszych. Znalazłem komplet zeskanowanych gazet z Grasse i

tam szukałem naszego Rastuviera. Pomijam szczegóły o śmierci, pogrzebie i innych takich...

ale posłuchajcie tego. - Leon podsunął towarzyszom wydrukowany wycinek z gazety.

- Co to takiego? - zapytał Simon, wskazując rysunek buteleczki w stylu secesyjnym.

- Nadziewane figami z musztardą winogronową. To wszystko! - adwokat zaczął z zadowoleniem pocierać dłonie i od razu włożył sobie serwetkę za kołnierzyk koszuli.

- Wreszcie jakieś przyzwoite jedzenie! Na czym stanęliśmy, Leonie?

- Na tym nowym miejscu: czytelnia czasopism, o której mi pan powiedział po wczorajszym zebraniu.

- Czytelnia czasopism? - zapytał Simon.

- Tak, czytelnia i biblioteka.

- Właśnie - powiedział Leon. - Znalazłem całkiem sporo wiadomości, szczególnie na temat naszego Rastuviera odkryłem kilka ważnych rzeczy.

- Kieliszek chablis, dziękuję! - krzyknął Janvier do kelnerki.

- No, Leon, opowiadaj! - zachęciła kolegę Nikola.

- Mecenasy tak czy owak nas słyszą.

- Rastuvier pochodził ze stolicy perfum, z Grasse w Prowansji.

- Racja, to samo powiedział Parillaud! - przypomniała sobie Nikola.

- Na początku zeszłego wieku jego fabryka, nosząca zresztą nazwisko właściciela, była uważana za jedną z najlepszych. Znalazłem komplet zeskanowanych gazet z Grasse i tam szukałem naszego Rastuviera. Pomijam szczegóły o śmierci, pogrzebie i innych takich...

ale posłuchajcie tego. - Leon podsunął towarzyszom wydrukowany wycinek z gazety.

- Co to takiego? - zapytał Simon, wskazując rysunek buteleczki w stylu secesyjnym.

- To dzieło Rastuviera, któremu zawdzięczał swoją sławę. To legendarna Bryza ze Wschodu, uznawana za zapach doskonały. Bogacze z całej Europy, i nie tylko, kupowali te perfumy za astronomiczne kwoty. Nigdy nie były one sprzedawane w perfumeriach, a

jedynym sposobem, żeby dostać ich niewielką ilość, był bezpośredni przyjazd do willifabryki Rastuviera. Na umówionym spotkaniu uczestniczyło się w czymś w rodzaju międzynarodowej aukcji.

- Co za historia...

- Wyobrażacie sobie? Sami Boczarze!

- To nie wszystko - ciągnął dalej Leon. Pokazał im zdjęcie pięknej kobiety, na widok której Janvier westchnął głęboko.

- Ach, Marlene! - powiedział, gryząc kawałek perliczki. - Ależ to była kobieta!

- To słynna aktorka tej epoki - wyjaśnił Leon rodzeństwu Gaillard. - Oczywiście używała Bryzy ze Wschodu Rastuviera. Pewnego dnia, kiedy udzielała wywiadu, oświadczyła, że ten zapach uważa za cudownie odurzający. Mówiła, że jeśli się tylko raz tych perfum użyje, to żadna kobieta nie będzie mogła przestać. W ten sposób sprzedaż jeszcze bardziej podskoczyła.

- Rastuvier był więc właścicielem prawdziwego imperium! - zauważyła Nikola.

- Tak i nie, gdyż Rastuvier był bardzo dziwnym typem.

- W jakim sensie?

- W takim, że nie interesowały go pieniądze, ale perfekcja!

- Perfekcja?

- Tak. Poszukiwał „zapachu doskonałego”. Dzięki pieniądzom zarobionym na Bryzie ze Wschodu opuścił niespodziewanie Francję i pojechał w świat szukać najdroższych i najtrudniejszych do uzyskania składników perfum.

- A co z Bryzą ze Wschodu?

- Ponieważ był jedyną osobą, która знаła tajną recepturę, produkcję wstrzymano i wszyscy klienci zostali na lodzie.

- Nie!

- Tak!

- A nie miał dzieci?

- Nie. Nie miał też współników. Zatem kiedy sprzedano ostatnie flakoniki perfum, Bryza ze Wschodu stała się legendą i ze wspaniałego zapachu pozostały jedynie wspomnienia.

- To takie poetyckie, w pewnym sensie - powiedziała Nikola.

- Bo mówimy o zupełnie innej epoce - podkreślił adwokat. - Kiedy istniały jeszcze poezja, ideały i zasady.

- Ale co ma z tym wspólnego poezja? - zdziwił się Simon, którego interesowało przede wszystkim śledztwo.

Nikola roześmiała się:

- Mecenasio, nie powinien pan mówić z pełnymi ustami! - upomniała go, a on w tym samym czasie przeszedł do zmasowanego ataku na przepiórkę.

- Dziecko, masz rację, ale mówisz to z żołądkiem pełnym naleśników, podczas gdy ja... przyjechałem z miejsca, gdzie była zupa kalafiorowa...

- Rozumiem cię, Ferdynandzie! - powiedział Simon jak do kolegi. - Zamówmy jeszcze po naleśniku!

Leon opowiedział inne anegdoty o niezwykłym życiu Rastuviera oraz historie ze świata perfum. W pewnym momencie Nikoli zaświtała w głowie nagła myśl.

Wstała od stołu bez słowa i podeszła do stojaka z gazetami w naleśnikami Petit Canard. Szukała magazynu, do którego pisywała mama.

Szybko go przekartkowała i powiedziała:

- Pokażę wam coś bardzo dziwnego - zatrzymała się na stronie, którą już wcześniej

widziała, z modelką leżącą na tygrysie, i pokazała ją pozostałym. - Nazwa Bryza ze Wschodu

bardzo przypomina mi te nowe perfumy... które niedługo mają trafić do sprzedaży...

- Wiatr ze Wschodu... - odczytali inni.

- Co za wyobraźnia!

- Odnoszę wrażenie, jakby bardzo wiele osób było zainteresowanych tymi nowymi perfumami... - ciągnęła dalej Nikola. - Wiem, że może się to wam wydać zbiegiem okoliczności, ale... nazwa tamtych perfum i tych tutaj... jest...

- Fauré.

Janvier nagle przestał konsumować swój obiad.

Leon przecierał oczy.

Simon włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej znaną spinę.

„F” jak Fauré.

A więc...?

- Masz wszystko? - Walentyna zwróciła się z pytaniem do Andżeliki z działu zajmującego się modą.

Andżelika była młodą, piękną dziewczyną o blond włosach, doskonałej figurze i bursztynowej opaleniznie, wyglądała zupełnie jak z reklamy. Wyciągnęła plik kartek, które trzymała w torebce, i odpowiedziała, że wszystko jest pod kontrolą.

- W takim razie idziemy - zdecydowała Walentyna, sprawdzając, którym wyjściem powinny opuścić stację metra Argentine.

Obcasy kobiet rytmicznie hałasowały na stopniach wychodzących z podziemnej kolejki. Kiedy wyszły na górę na aleję Grande Armée, nad miastem wciąż unosiła się gęsta mgła. Postanowiły poszukać bistro, żeby usiąść na chwilę, wypić szybko kawę i powtórzyć plan spotkania.

- Ty się przedstawisz i zaczniesz rozmowę - powiedziała Walentyna. - Kawalek o perfumach jest twój.

- Wywiad z Robertem Faure, prezesem firmy Faure Parfums - przypomniała Andżelika. - Główny temat: promocja ich nowego zapachu.

- Dokładnie. Spróbuj być jak najbardziej... pod wrażeniem. Musisz mu schlebiać, tak żeby poczuł się ważny, podczas gdy ja...

- Ty go rozłóżysz na łopatki rachunkami.

Walentyna wypłała spory łyk kawy. - Dokładnie.

Masz wyniki finansowe spółki, które przygotował Emil?

- Są tutaj, w niebieskiej teczce.

- Świetna robota.

- Emil zawsze na czas dostarcza potrzebne informacje.

- Szczególnie jeśli to ty go o nie prosisz.

Andżelika zaśmiała się.

- Nie moja wina, że na całym piętrze nie ma ani jednej ładnej dziennikarki zajmującej się ekonomią i finansami.

- W każdym razie kiedy już nasz Robert Faure będzie pewny, że wszystko idzie doskonale, wyciągnę dane od Emila i zacznę go wypytywać o długi. Aby zrozumieć, jak te nowe perfumy...

- Wiatr ze Wschodu...

-...mają uratować przedsiębiorstwo, biorąc pod uwagę kiepską sytuację, w jakiej się znalazło.

- I zobaczymy, co nam powie.

Bracia Faure

Dwie kobiety jeszcze przez kilka minut rozmawiały, a potem Walentyna spojrzała na zegarek i postanowiła, że już pora pokazać się w paryskiej siedzibie firmy Faure Parfums.

Doszły na miejsce w kilka minut. Firma znajdowała się w kamienicy przy ulicy Acacias, między szykowną chińską restauracją a salonem samochodowym jednej ze szwedzkich marek. Siedziba była prestiżowa, ale nie tak wspaniała jak budynki innych wielkich firm ze świata perfum.

- W rzeczywistości, Walentyno, nasz prawdziwy plan jest inny - wyszeptała

Andżelika, kiedy czekały na recepcji, żeby ktoś do nich podszedł.

- Czyli? - zapytała Walentyna, wstrzymując oddech. Spojrzała jeszcze przez szklaną witrynę na ulicę. Przed budynkiem firmy stało klasyczne, luksusowe, ciemnozielone auto.

Natomiast po drugiej stronie ulicy zatrzymała się mała ciężarówka firmy kurierskiej, a za nią stary beżowy citroen 2CV - Jaki jest nasz prawdziwy plan?

- Wyjść stąd z próbką Wiatru ze Wschodu. Zanim te perfumy trafią do sprzedaży, będziemy mogli wypróbować je w redakcji.

Walentyna roześmiała się. Andżelika nawet nie przypuszczała, że prawdziwym powodem ich wywiadu było spotkanie z panami Faure i próba zrozumienia, czy mogli być zamieszani w śmierć Tancerza.

- Pan Faure już na panie czeka... - powiedziała dystyngowana sekretarka i poleciła, by szły za nią białym korytarzem, który prowadził do obszernej sali, w której szumiała mała fontanna. - Za chwilę przyjdzie do pań. Czy mogę zaproponować coś do picia?

- Jest pani bardzo uprzejma, ale dziękuję.

- Ja również dziękuję.

Dziennikarki usiadły na krzesłach zaprojektowanych według nowoczesnego wzoru i zaczęły oglądać plakaty reklamowe zawieszane na ścianach.

- Kiedy założono firmę Faure? - zapytała Walentyna, przebiegając wzrokiem kolekcje z różnych lat.

- Firma ma długą historię. Istnieje przynajmniej od wieku. Rodzina Faure jest związana z Paryżem i firma tu zawsze miała siedzibę, przynajmniej do tej pory. Koleje losu członków rodziny różnie się układały. Zaczęli bardzo dobrze, ze sporym kapitałem, zdobyli pewną część rynku, ale potem firma nieco podupadła. Kilka nietrafionych zapachów, kolekcja wód po goleniu dla mężczyzn, o której lepiej zapomnieć, jakieś błędy w strategiach promocji i sprzedaży, kryzys międzynarodowy, czyli to, co się często zdarza...

Drzwi biura otworzyły się nagle i wszedł przez nie mężczyzna ubrany w gustowny prążkowany garnitur.

- Witajcie! - przywitał się nieco zbyt poufale. Jego złote, dość grube oprawki okularów połyskiwały na nosie.

- Pan Robert Faure? Proszę pozwolić, że się przedstawię: jestem Andżelika Lambert, szefowa działu mody czasopisma...

- Bardzo mi miło.

- A to moja koleżanka, Walentyna Gaillard, jedna z naszych najlepszych reporterek.

- Proszę pani...

Walentyna uścisnęła dłoń silną i zdecydowaną, ale odniosła wrażenie, że to ręka mężczyzny, który jest dość nerwowy. Obserwacje te zachowała dla siebie i poszła za koleżanką do biura pana Fauré. Kilka kroków, które dzieliły ją od czarnego, lakierowanego biurka prezesa, przeszła w maksymalnym skupieniu, starając się wypatrzyć coś szczególnego, ważnego, ciekawego.

Usiadła, wyciągnęła długopis i notes, po czym zaczęła przypatrywać się człowiekowi, który siedział po drugiej stronie biurka. Starła się wyobrazić go sobie w mieszkaniu

Tancerza z pistoletem w dłoni i...

- Domyślam się, że przyszłyście w sprawie Wiatru ze Wschodu?

- Nie myli się pan, istotnie... - Andżelika uśmiechnęła się. - W naszej redakcji nie mówi się o niczym innym. Także ciekawość naszych czytelniczek jest ogromna. Nigdy wcześniej nie promowano produktu w sposób tak nagły i... tak... intensywny!

Robert Fauré uśmiechnął się niczym rekin, przesunął rękę ku jednej ze skrzyneczek na biurku i otworzył ją nagle. Walentyna drgnęła niezauważenie, jakby myślała, że za chwilę zobaczy w ręku rozmówcy pistolet. Fauré tymczasem wyciągnął mały flakonik na perfumy i postawił go na środku stołu.

Andżelika dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że jest pusty. Na jej twarzy odmalowało się rozczarowanie. - Liczyłam, że będę mieć ten honor...

Faure zachichotał.

- Byłoby wspaniale móc opisać Wiatr ze Wschodu naszym czytelniczkom.

- Oczywiście, moja droga, oczywiście.

Walentyna przyglądała się mężczyźnie. Im dłużej patrzyła, tym mniej widziała w nim zabójcę. Był chyba raczej zwyczajny, może trochę grubiański, co jest typowe u ludzi, którzy chcą pokazać swoje bogactwo, ale widać w nim było także pewien surowy zmysł praktyczny i nieco prostych manier, które nie pasowały do sposobu, w jaki popełniono morderstwo: strzał z pistoletu małego kalibru. Mogła wyobrazić sobie tego człowieka, jak demoluje mieszkanie, ale nie jak strzela do biednego Tancerza.

Ponownie skupiła się na rozmowie. Andżelika zapytała pana Faure o przewidywania dotyczące sprzedaży nowego zapachu, a on odpowiedział jak fachowiec z branży. Wtedy zadała mu bardziej bezpośrednie pytanie:

- Czyli zapach jest jeszcze do tej pory pilnie strzeżoną tajemnicą?

- Tak, moja droga. To absolutnie sprawa top secret.

- Przepraszam, że ci przerywam, Andželiko, ale... to chyba najlepsza okazja, żeby zapytać pana Faure o słowa, jakimi można by opisać ten zapach.

Robert Faure rozsiadł się w swoim wielkim prezesowskim fotelu.

- Perfumy, które są tajemnicą, zasługują na to, by opisać je tajemniczo, nie wydaje się panu? A z nas trojga pan jest jedynym, który... jak przypuszczam... je powąchał!

- Oczywiście, że to zrobiłem!

- Zatem jaki to rodzaj perfum?

Faure postukał palcami po biurku.

- Nie jestem pewny, czy mogę wyjawić skład...

- Ależ nie pytamy o skład, panie Faure... - podjęła Andželika - tylko o to, jaką te perfumy mają nutę zapachową. Są słodkie, wytrawne, korzenne?

- Och, nie! Nie da się opisać Wiatru ze Wschodu takimi słowami... - wreszcie po długich chwilach niezdecydowania wydawało się, że Faure traci pewność siebie. - Nasi technicy w laboratoriach w podziemnej części budynku pracowali całe miesiące, idealnie dobierając składniki, aby otrzymać tę niepowtarzalną i hipnotyczną mieszankę. Oto dobre słowo: powiedziałbym, że są „hipnotyczne”.

- To zapach typu...?

- Mój brat, który kieruje laboratorium, byłby pewnie bardziej precyzyjny. Ja zajmuję się raczej kierowaniem sprawami finansowymi, promocją i sprzedażą, podczas gdy on...

- Może pan go poprosić?

- Oczywiście, że mogę.

- Jeśli już mowa o zarządzaniu finansami, panie Faure... - ponownie zabrała głos

Walentyna. - Wiemy, że pańska firma upatruje nadziei na przetrwanie właśnie w perfumach

Wiatr ze Wschodu.

- To bardzo mocne słowa - obruszył się prezes i ponownie zaczął stukać palcami o biurko.

- A pan jakich słów by użył?

- Powiedzmy, że Faure Parfums sporo zainwestowała w Wiatr ze Wschodu. To inwestycja niezwykle ważna, jeśli idzie o reklamę, kontakt z rynkiem i poszukiwanie... produktu idealnego.

Walentyna udawała, że notuje.

- Zatem potwierdzacie początek sprzedaży pod koniec miesiąca?

- Zdecydowanie.

Wydawało się, że co najmniej jedna sylaba w tym słowie została wypowiedziana z drżeniem w głosie.

Ktoś zapukał do drzwi, a Robert Faure dość szorstko powiedział „wejść”. W drzwiach pojawiła się kopia Roberta, tylko dużo chudsza i wyższa. Było jasne, że to jego brat.

- Julianie... Przedstawiam ci dziennikarki z „Paris Fashion”.

- Niezwykle mi miło. To gazeta, którą zawsze czytam.

- Naprawdę? - Walentyna się uśmiechnęła. - To zadziwiające, ponieważ nasza gazeta jest adresowana do kobiet.

- A także do tych, którzy tworzą produkty dla kobiet... - podkreślił Julian Faure. Potem dał szybki znak bratu i zapytał: - Mogę ci zabrać chwilę?

Walentyna wykonała ruch, jakby miała wstać z krzesła.

- Jeśli mamy już pójść...

- Nie, proszę się nie przejmować... - powiedział Julian Faure. Kiedy to mówił, położył delikatnie rękę na ramieniu Walentyny, żeby przekonać ją, by nie wstawała. Walentynie na

chwile serce zamarło, kiedy na nadgarstku mężczyzny rozpoznała spinkę identyczną z tą, którą Simon znalazł przed mieszkaniem Tancerza.

Jeśli dwie wątpliwości dają pewność, to Walentyna była już niemal przekonana, że bracia Faure są zamieszani w jakiś sposób w kradzież Dziewczyny w czerwonym czepku oraz w zabójstwo Tancerza. Pewność ta sprawiała, że serce biło jej teraz jak oszalałe. Co miała robić? Zawiadomić męża? Zadzwoić do innych? Zaczekać, aż stamtąd wyjdzie, i wtedy... No właśnie, co wtedy?

Spoglądając na obu braci, raz na jednego, raz na drugiego, zaczęła zastanawiać się, który z nich pociągnął za spust broni, która zabiła Tancerza, i poczuła straszną suchość w gardle na myśl, że znajduje się w jednym pokoju z mordercą. Potem powiedziała sobie jednak, że to wyobraźnia płata jej brzydkie figle i wszystko to, co podejrzewała, może mieć inne wyjaśnienie.

- Walentyno? Wszystko w porządku? - zapytała ją Andżelika. - Masz taką minę, jakbyś...

O czym rozmawiali tych dwóch? Co sobie opowiadali przy drzwiach wejściowych do biura? Walentyna zauważyła inne szczegóły, które uruchomiły w jej głowie alarm. W poczekalni obok Juliana stała walizka na kółkach, a z kieszeni jego marynarki wystawała niebieska koperta z biletami linii lotniczych Air France.

Julian... Szczupły, wysoki, z zimnymi i zdecydowanymi oczami, bardziej niż brat pasował do opisu osoby noszącej ze sobą mały pistolet... Może chciał opuścić kraj? Planował ucieczkę?

Rozmowa między braćmi nie była całkowicie spokojna. Nagle Robert zaczął gwałtownie gestykulować, a jego twarz stała się czerwona jak burak. Mocno

Bracia Faure odepchnął brata i wrócił do biura. Mimo że starał się zachować spokój,

było jasne, że próbuje hamować impuls, żeby coś rozbić.

- Wybaczcie, ale czasami...

- Czy coś się stało?

- Nic, co mogłoby panie zainteresować.

Tym razem uderzał już palcami mocno o blat, patrząc co chwilę to na jedną, to na drugą dziennikarkę, choć w rzeczywistości jego wzrok był nieobecny. - Rozmawialiśmy o...

- O przeszkodach w produkcji... - wypaliła Walentyna.

Robert Faure spojrzał na nią nieomal gniewnie:

- Słucham?

- Pański brat... Słyszałam, jak rozmawialiście, i pomyślałam sobie, że macie panowie jakieś problemy.

- Absolutnie nie - skłamał Faure, ale bez przekonania w głosie. A potem, jakby mu przyszło nagle coś do głowy, chwycił telefon i wybrał numer. Rozmowa była prowadzona w trybie głośnomówiącym.

- Julian? Julian? Wysłuchaj tej wiadomości. Możesz wrócić do mnie do biura?

Dziękuję.

Następnie rzucił Walentynie spojrzenie, jakby chciał się jej już pozbyć.

- Wydaje mi się, że źle odczytała pani naturę naszej dyskusji. Ale to nieważne. Teraz, jeśli już nie macie innych pytań... Jesteśmy u progu wprowadzenia nowych perfum i, jak możecie sobie wyobrazić, mamy jeszcze tysiąc spraw do załatwienia.

Andżelika wstała z uśmiechem, ale Walentyna pozostała na swoim miejscu.

- Tak naprawdę mam jeszcze jedno pytanko, panie Faure.

- Byle krótkie.

- Króciutkie. Czy coś panu mówi nazwisko Rastuvier?

Nie wydarzyło się nic szczególnego, ale Walentyna miała wrażenie, że między nią a biurkiem prezesa firmy Faure Parfums pojawiła się ogromna przepaść.

- A powinno?

- A nazwa Bryza ze Wschodu?

Robert Faure potrząsnął głową. Wyciągnął z kieszeni marynarki chusteczkę i szybko przetarł nią czoło.

- To bardzo dziwne, panie Faure... - ciągnęła dalej Walentyna, zbierając swoje rzeczy i uśmiechając się do Andżeliki. - Ponieważ Rastuvier był znanym twórcą perfum w swoich czasach, zaś jego najsłynniejszym zapachem była Bryza ze Wschodu, której kompozycja przez lata pozostawała tajemnicą.

- Och, oczywiście! Teraz sobie przypominam! - plątał słowa Robert, bo wydawało się, że kłóć się w nim dwa przeciwstawne uczucia: strachu i złości, w równych proporcjach. - Teraz sobie przypominam. Mówił mi o nim brat, on jest ekspertem od zapachów...

- Oczywiście. Pan jest tylko bardzo uważnym administratorem wszystkiego...

- Hołd - tak to ujął Julian. Chcieliśmy złożyć hołd dawnym czasom, nawiązując nową nazwą do tej leBracia Faure gendarnej. Pewnie to panie zainteresowało? Czy znajdzie się to w artykule?

- Nie wydaje mi się to stosowne... - powiedziała wprost Walentyna, a serce biło jej jeszcze szybciej. - Ponieważ, widzi pan, ostatnio wokół nazwiska Rastuviera wydarzyło się wiele dziwnych i niepokojących rzeczy. Wydaje się, że złodziej ukradł obraz z jego kolekcji sztuki, która niedługo później w całości została wysłana do Japonii...

- Naprawdę? Kolekcja sztuki... Tak pani powiedziała?

- To był bardzo mały obraz... który jednak nie przyniósł szczęścia złodziejowi. Policja znalazła złodzieja martwego w jego mieszkaniu.

- To... straszna historia.

- Straszna, może to pan powiedzieć głośno.

- Teraz jednak już naprawdę muszę zaprosić panie do wyjścia...

- Na szczęście do redakcji dotarła wiadomość, że policja znalazła ślad, który pozwoli złapać winnego!

Walentyna usłyszała, że ten dźwięk pochodził z głośnika telefonu, który stał na biurku Roberta Faure. Zdała sobie sprawę, że ostatnie zdanie, które powiedziała, słyszał jeszcze ktoś. Robert Faure udawał, że niczego nie zauważył, i otworzył drzwi biura. Walentyna przebiegła cały korytarz, aż do wyjścia, nie zwracając uwagi, że jej obcasy wywołują spory hałas, stukając o podłogę. Będąc przy drzwiach wyjściowych, usłyszała silnik starej limuzyny zaparkowanej pod siedzibą Faure Perfums. Samochód odjeżdżał i wtedy zdała sobie sprawę, że Julian Faure wziął nogi za pas.

Telefon komórkowy Nikoli niespodziewanie zadzwonił.

- Mamo? Jak idzie...? - udało jej się zapytać, zanim zalał ją potok słów Walentyny. -

Czy widzieliśmy uciekający samochód? Jeśli chodzi ci o zielonego morgana, to dopiero co przejechał obok.

- Tak! To on! - wykrzyknęła Nikola.

- Jaki „on”? - zapytał syn pani Jaśminy.

- Zapalaj! Szybko! Musimy go śledzić! - nalegała Nikola

- Żartujesz sobie, prawda?

Nikola poleciała gestami antykwariuszowi, żeby zapalił silnik starego citroena.

Simon, czując, co się święci, rozsiadł się na przednim siedzeniu i zawołał:

- O rany! Prawdziwy pościg!

W czasie gdy Nikola streszczała szybko rozmowę między mamą a braćmi Fauré,

Ludwik ruszył w pogoń za starym zielonym morganem.

- Jest żółte! - wykrzyknęła Nikola na alei Grand Armée.

- Ryzykujemy! - zawołał Ludwik, wciskając do oporu pedał gazu.

Morgan przejechał już aleję i skręcił w stronę placu l'Étoile i Łuku Triumfalnego.

Siedząca na tylnym siedzeniu Nikola widziała, że zaraz mogą w nich uderzyć przejeżdżające samochody, ale jakimś sposobem stary citroen Ludwika zdołał przejechać skrzyżowanie i skręcić w odpowiednim miejscu. Zielony morgan był mniej więcej pięćdziesiąt metrów przed nimi i jechał spokojnie w stronę centrum.

- Gdzie jedzie, waszym zdaniem?

- Mama mówiła, że ma z sobą walizkę.

- Czy lotnisko nie jest z drugiej strony?

- Nie mam pojęcia - przyznał Simon.

- Ja też nie.

Ludwik też nie wiedział, ponieważ nigdy nie leciał samolotem.

Morgan jechał szybko slalomem między innymi pojazdami i kierował się w stronę Łuku Napoleona. Ludwik starał się go dogonić, torując sobie drogę klaksonem, gdy kilka razy został przyblokowany.

- Przepraszam! Przepraszam!

- Widział nas! - wykrzyknął w pewnym momencie Simon.

- Nie, nie widział!

- A jednak przyspiesza...

- Mam go...

- Uwaga na pieszych!

Ludwik wyhamował kilka centymetrów przed kobietą z wózkiem.

- W którą stronę pojechał? - zapytał, podejmując na nowo pościg.

Morgan przejechał dopiero co przez ostatnie światła przed placem, skręcił w prawo w ulicę Presbourg, a następnie w lewo w aleję Focha i po chwili wjechał na ogromne rondo, które otacza Łuk Triumfalny.

Ludwik ścigał go z piskiem opon i chmurą spalanego paliwa, kiedy wjechał na rondo z impetem rozpędzonego słonia. Zatrzymał się po kilku metrach, bo ruch był całkowicie sparaliżowany i wszystkie samochody na rondzie stały.

- Widzicie go?

- Ja nie. A ty, Sim?

Chłopiec wychylił się przez okno i wypatrywał morgana. Nie było go przed nimi, ale też nie wydawało im się, żeby widzieli go, jak wyjeżdża jednym z licznych zjazdów z ronda.

Antykwariusz zatrąbił.

Przesunęli się o jakieś dziesięć metrów.

- Jest tam! - krzyknął w końcu Simon.

Zabytkowe auto wjechało w Pola Elizejskie, cały czas kierując się w stronę centrum.

- A niech to! - wykrzyknął syn pani Jaśmny. Włączył kierunkowskaz i powoli zaczął zjeżdżać na zewnętrzny pas ruchu. Kiedy udało mu się już wjechać w szeroką aleję, zobaczyli, jak morgana omija inne samochody od lewej strony do prawej i zaczęli jechać tak samo.

- Nie uciekniesz specjalnej ekipie z zaułka Woltera! - ryknął łagodny zwykle antykwariusz.

- Czy jakkolwiek zdecydujemy się ją nazwać! - dodała Nikola.

- Co robi?

- Zatrzymał się przed hotelem Foquet!

- Jest nasz!

Rzeczywiście, auto prowadzone przez Juliana Faure zatrzymało się przy krawężniku po prawej stronie alei, tam gdzie powiewały flagi hotelu i jego charakterystyczne czerwone rolety. Kierowca wysiadł szybko z samochodu, rozejrzał się dookoła, ale kiedy zobaczył nadjeżdżającego Citroëna Ludwika, błyskawicznie zmienił zdanie. W mgnieniu oka wrócił do samochodu, ostrym manewrem włączył się do ruchu i wjechał w ulicę Waszyngtona.

- To wariat! - krzyknął Ludwik. - Tam trwają roboty budowlane.

Jednak Morgan przerwał pomarańczowe taśmy oznaczające budowę i otarł się o budynek po lewej stronie, przejeżdżając kawałek chodnikiem.

- Udało mu się! - wykrzyknął Simon z niedowierzaniem.

Młody antykwariusz podciągnął rękawy, wrzucił wyższy bieg w Citroënie i podążył tą samą drogą co ścigany.

- Nam też się uda! - oświadczył z błyskiem w oku.

- Rozstąpcie się! - krzyczał Simon do kierowców na zewnątrz. - Pozwólcie nam przejechać!

Jeden podskok, drugi podskok i lądowanie, które sprawiło, że nogi Nikoli znalazły się przez chwilę wyżej niż głowa. Przejechali odcinek robót drogowych i skręcili w ulicę Waszyngtona. Była wąska i prosta, z dwoma rzędami samochodów zaparkowanych po bokach i pieszymi, którzy chodzili wąskimi chodnikami.

Morgan jechał tą ulicą jak oszalały, a jego silnik ryczał jak smok, wyrzucając z rury smugę szarawego dymu. Ale 2CV Ludwika wcale nie chciał być gorszy.

- Skręcił w prawo! - zawołał Simon.

- Widziałem!

Ludwik skręcił niespodziewanie i Citroën lekko uniósł się na dwóch kołach,

przemieszczając się płynnie jak żaglówka.

- W lewo!

- W prawo!

Simonowi wydawało się, że znajduje się w środku najbardziej zwariowanej gry komputerowej w życiu. Zaś Ludwik przeżywał właśnie najbardziej szalone i ekscytujące do tej pory pół godziny swojego życia. Wjeżdżając w ulicę Pepieniere, żałował, że nie ma obok Walentyny - zobaczyłaby, jaki jest odważny. Z drugiej strony dobrze, że nie było jego matki, która krzyczałaby, że jedzie jak pirat.

- Tam! Tam!

Simon był jak radar. Julian Faure mógł próbować różnych manewrów, ale i tak by mu nie uciekł. Wjechali na parking i wyjechali z niego, znowu z piskiem opon. Wjechali ostrym zakrętem w ulicę SaintLazare, oglądając dachy miasta, które było poniżej, i udało im się podjechać tak blisko do morgana, że Simon prawie mógł go dotknąć. Jednak, jak powiedział Ludwik, zwalniając, może byłoby lepiej, aby Fauré nie wiedział, że ryzykuje życie, uciekając przed dwójką dzieci i statecznym sprzedawcą antyków.

- Halo! Policja? - zawołała nagle Nikola, kiedy oba samochody wjechały na plac

Republiki. Ludwik sprawnie wymanewrował i ominął grupkę młodych ludzi, którzy nieśli perkusje na koncert rockowy.

Simon odwrócił się do siostry i zapytał:

- Co robisz?

- Wzywam pomoc! Nie ma sensu dalsze ściganie go w ten sposób! Halo? Policja?

Chciałabym zgłosić pościg, jaki ma miejsce... Tak! UWAGA!

Ludwik zatrzymał się, skręcił w jedną, potem w drugą stronę, ale nie dało się uniknąć rozjechania reklam wystawionych przy kiosku z gazetami. Citroen przejechał je, a jego silnik

pracowała jak w czasach świetności.

Nikola podniosła telefon, spojrzała do tyłu, czy nikomu nic złego się nie stało, i mówiła dalej:

- Musicie złapać zielonego morgana między placem Republiki a... Gdzie jesteśmy?

- Bulwar Woltera!

- Na prawo!

- Bulwar Lenoir!

Nikola powtarzała nazwy do telefonu.

- Zadzwońcie do komisarza Gaillarda. Powiedzcie mu, że w zielonym morganie jest główny podejrzany o zabójstwo Tancerza. Powtarzam: morderca Tancerza! Słucham? Nie, nie powiem, kim jestem! Do widzenia!

Wtedy wydarzyło się coś niespodziewanego. Nagle zielony morgan skręcił gwałtownie. Może pękła opona albo starał się coś ominąć? Faktem jest, że kierowca stracił panowanie nad samochodem, który ostro wjechał na chodnik, odbił się na krawężniku i uderzył w betonową zaporę ze strasznym hukiem gniecionej karoserii.

- O, nie! - zawołała Nikola, zamykając oczy. Ludwik zwolnił, ale przejechał obok morgana, żeby sprawdzić, co się stało.

- Jest dobrze! Nic mu się nie stało! - powiedział Simon, gdy zobaczył, że Faure wysiada z samochodu o własnych siłach.

Potem jednak mężczyzna zachwiał się, potknął

i upadł na ziemię.

- To znaczy: prawie dobrze.

Młody antykwariusz zaparkował kawałek dalej. W oddali było słyhać syreny pierwszych patroli policji.

- A teraz? Co robimy? - zapytali jednocześnie Simon i Nikola. - Czy on próbuje uciec?

Obserwowali w trójkę, jak Faure usiłuje wstać, chwieje się na nogach koło swojego rozbitego auta i coś głośno wykrzykuje. Z jego samochodu wydobywała się cienka smuga dymu. W drzwiach budynku pod numerem 132 dwie osoby przypatrywały się zdarzeniu, a kolejne podchodziły, żeby zobaczyć, co się wydarzyło. Z głębi ulicy zaczął zbliżać się patrol policji z kogutem na dachu.

- Myślę, że lepiej będzie, jak się ulotnimy - zasugerowała Nikola - zanim komuś przyjdzie do głowy powiedzieć, że to z naszej winy Faure wjechał na chodnik.

- Tak naprawdę to była nasza wina - odparł młody antykwariusz.

- Ale to on jest zły! - przypomniał mu Simon.

Ludwik przytaknął i chwilę później citroen znowu wyjechał na ulice stolicy Francji.

- Pan Faure? - zapytał głos.

Julian odwrócił się zdezorientowany.

- Jestem komisarz Gaillard - uśmiechnął się człowiek z wąsami. - Będzie pan tak miły i pojedzie ze mną na komisariat?

- Mecenasio Janvier! - ze słuchawki telefonu dobiegł głos Leona, tak donośny, że mógłby uszkodzić bębunki.

- Psia kostka, chłopcze! Myślałeś kiedyś, żeby zostać tenorem? - odpowiedział stary książę sali sądowej, wiążąc srebrny krawat.

- Pan żartuje, ale jeśli będzie pan zwlekał dłużej, to chyba skończy się temat do żartów, wie mecenas? Tutaj wszyscy siedzą jak na szpilkach!

Była to prawda. Poprzedniego wieczoru Janvier spotkał się ze starym przyjacielem, Paulem Rambouillem, adwokatem ciągle pracującym w zawodzie. Tak się złożyło, że tego prawnika wynajął jako obrońcę Julian Fauré. Po długiej rozmowie ze swoim klientem

Rambouillet znał wszystkie szczegóły, które kryły się za zabójstwem Barnofsky'ego.

Dla detektywów z zaułka Woltera te szczegóły były więcej warte niż nieoszlifowany diament, a Janvier obiecał opowiedzieć im wszystko po kolei w zielonym gabinecie.

Teraz nadszedł moment, kiedy kurtyna miała się podnieść!

- Ile to może panu zająć? - nalegał Leon.

- Spokojnie, dwie minuty i jestem.

- Mam nadzieję...

- Do zobaczenia za chwilę, Leonie, za chwilę!"

Mecenas wziął grzebień i pogładził nim swoją bujną, siwą czuprynę.

Rzucił jeszcze okiem na swoje odbicie w lustrze, gdzie zobaczył elegancki garnitur w kolorze błękitu pruskiego, i poczuł się gotowy do wyjścia.

Poruszając się cicho, przeszedł przez przedpokój i ograniczył się do powiedzenia krótkiego:

- Moja droga? Wychodzę!

Ale pani Janvier nie dała się tak łatwo zbyć.

- Dokąd idzieeeesz? - wykrzyknęła z salonu.

- Przecież ci mówiłem! Ehm... na wręczenie nagród Towarzystwa Wioślarskiego Sekwany.

- Też coś! Jakaś niedorzeczność...

- Przepraszam, ale nie rozumiem, co masz na myśli, moja droga.

Kobieta zaśmiała się, jak zwykle piskliwie.

- Przecież ty w towarzystwie wioślarskim chodziłeś tylko do restauracji!

- Ależ proszę cię... Nazywali mnie „strzałą Sekwany”, tak szybko pływałem. Słuchaj, nie chcę się spóžareszcie prawda!

- nie na wręczenie nagród, zatem... - I nie dokończywszy zdania, zniknął za drzwiami.

Prawda była taka, że Strzała Sekwany to tytuł starej książki, a mecenas nigdy nie trzymał wiosła w ręce! Teraz jednak należało oddać się wyjawianiu dużo ważniejszej prawdy.

Adwokat udał się do piwnic kamienicy i wszedł do tej pod numerem 12. Stamtąd krętymi schodkami dotarł do kominka w zielonym gabinecie.

Kiedy jego białe włosy wyłoniły się z rzeczonoego kominka, przywitał go chór głosów.

- Mecenasie... Nareszcie!

- No!

- W samą porę!

- I co? Nie mógł pan znaleźć skarpetek?

Tylko Nikola Gaillard nic nie powiedziała, ograniczając się do przeglądania swojego czerwonego notesu, otwartego na dwóch gęsto zapisanych stronach ozdobionych niezliczoną ilością znaków zapytania.

Javier nie przejął się wcale złośliwościami. Spoglądał na swoich towarzyszy przygody z zagadkowym uśmiechem, bardzo podobnym do tego, który zwykle towarzyszył mu, gdy rozpoczynał którąś ze swoich słynnych mów.

W zielonym gabinecie unosiła się tego dnia cudowna woń cytryn i wanilii. Po chwili mecenas Janver zauważył jej źródło: na małym stoliku z boku stał słynny tort z kremem cytrynowym pani Jaśminy. Widok ten zachęcił go, by rozpocząć bez zwłoki swoje przemówienie. Zaczął przechadzać się małymi krokami po pokoju, a ręce trzymał jak zwykle za plecami.

- Zawiedzione oczekiwania, moi państwo! - zaczął od razu donośnie, zyskując tym natychmiast uwagę swojej małej publiczności. - Wplątaliśmy się w historię, która opowiada o zawiedzionych oczekiwaniach. O ludziach, którzy spodziewają się jednego, a otrzymują coś

innego. Można zapewne godzinami rozwodzić się nad przewrotną nieprzewidywalnością życia, ale wyobrażam sobie, że wolicie poznać czyste fakty...

- Ma pan całkowitą rację, mecenasie! - wtrącił się Wiktor. - Proszę przejść do rzeczy.

- Pozwólmmy zatem mówić faktom! Zaczniemy od tych, które już znamy. Na początek został skradziony mały obraz z galerii pana Parillauda. Cóż za przypadek, że należał on do legendarnego producenta perfum żyjącego na przełomie XIX i XX wieku, Alberta Rastuviera! Ukradł go słynny złodziej Misza Barnofsky, zwany Tancerzem. Złodziej został następnie zamordowany w swoim domu, a obraz został na miejscu przestępstwa, tyle że pocięty i bez ramy. A jak wiemy, miał ramę, gdy był w magazynie Parillauda. Oto fakty - adwokat zrobił jedną z swoich słynnych pauz, aby nacieszyć się momentem, gdy jego przyjaciele detektywi oczekiwali z niecierpliwością, co powie. - Do tego inne elementy - podjął, przyglądając sobie krawat. - Znalezienie spinki do mankietu na schodach kamienicy Tancerza, spinki, która należała do jednego z braci Faure, także producentów perfum. Wielka kampania promocyjna nowego zapachu, którą ci sami bracia rozpoczęli nareszcie prawda! w ostatnim czasie. I wreszcie niedawne zdarzenia, znowu z braćmi Fauré w rolach głównych. Gdy wspomina się przy nich o Tancerzu, tracą zimną krew w sposób, który każe o tym myśleć jak o przyznaniu się do winy. Otóż, moi państwo, podałem wam półmisek faktów.

- Ale mówił pan na początku o zawiedzionych oczekiwaniach... - zauważyła przejęta Nikola.

- Masz rację, moja droga - zgodził się adwokat. - W tym miejscu musimy zadać sobie inne pytanie: czego brakuje w całej tej historii?

Najszybszy w podaniu odpowiedzi okazał się Simon, który wypalił:

- W tej historii brakuje sensu! Sensu, do diaska! - tego ostatniego zwrotu nauczył się od mecenasa.

Walentyna rzuciła na syna surowe spojrzenie, ale Janvier znowu zaczął mówić.

- Doskonale, Sim! Brakuje sensu, kierunku, nitki, która łączyłaby te fakty.

- Mam nadzieję, że pan nas po takiej nitce doprowadzi teraz do kłębka! - powiedziała niecierpliwie pani Jaśmina.

Adwokat uśmiechnął się.

- Jedyne, co mogę powiedzieć, to że nie chodzi tu o nitkę, raczej o mgiełkę...

- O mgiełkę?!

- Tak, moi państwo! O mgiełkę perfum!

Nikola poczuła, jak serce jej mocno bije.

- Niech pan mówi dalej, mecenasie! - poprosiła.

Janvier nie chciał niczego więcej, niż tylko kontynuować swój monolog jak aktornarrator.

- Ta mgiełka perfum powstała dużo wcześniej, w szalonym okresie, około sto lat temu, kiedy baronowe, księżne i koronowane głowy rywalizowały, płacąc astronomiczne ceny za Bryzę ze Wschodu, sensacyjne odkrycie genialnego perfumiarza Alberta Rastuviera.

- Zadaję sobie właśnie pytanie, co takiego szczególnego mogły mieć te perfumy! - skomentował niedowierzająco syn pani Jaśminy.

- Stare gazety, do jakich dotarł Leon, nasz magik od komputera, piszą, że Bryza ze Wschodu zawierała tajemniczą substancję, która powodowała uzależnienie. Kto jej spróbował jeden raz, nie mógł się już bez niej obejść!

- Niezłe draństwo! - oburzył się listonosz Cormolles. - Ale czy to prawda?

Janvier rozłożył ręce.

- Obawiam się, że to pozostanie tajemnicą. Na szczęście wiele innych spraw się wyjaśni. Idźmy dalej za naszą mgiełką, która ze starej fabryki przeniosła się do czasów

współczesnych.

- Bracia Fauré! - wyprzedziła adwokata Nikola.

- Otóż i oni. Właściciele dużej firmy produkującej perfumy.

- Dużej, ale znajdującej się w trudnej sytuacji finansowej - wtrąciła Walentyna.

- Słuszna uwaga - potwierdził Janvier. - Pozwala zrozumieć ważną część naszej

opowieści: bracia Fauré potrzebowali sposobu na podźwignięcie ich rodzinnej firmy... I tutaj diabeł postawił swoje kopytko, bo nareszcie prawda! - seria zbiegów okoliczności miała doprowadzić ich do nieszczęścia...

W tym momencie można było usłyszeć, jak Cormolles zaciera ręce i mówi cicho: -

Czuję, że zbliżamy się do ciekawego fragmentu!

- Adwokat Rambouillet streścił mi wyznanie swojego klienta. Jak się wydaje,

wszystko zaczęło się w restauracji na Wyspie św. Ludwika; podczas spotkania biznesowego

znajomy braci opowiedział im historię sprzed lat. Dotyczyła ona śmierci Rastuviera i

zawierała ciekawostkę, czyli ostatnie słowa starego perfumiarza, który zanim wyzionął ducha,

miał powiedzieć: „Tajemnicę mojej Bryzy ze Wschodu zna tylko dziewczyna w czerwonym

czepku”. Wszyscy myśleli, że to dziwne zdanie starca, który postradał zmysły, i nie przejęli

się nim. Dopóki całkiem niedawno... Stuk!

- Stuk?! - powtórzył Leon zafascynowany tajemniczą opowieścią.

- Dokładnie, znowu diabelskie kopytko! Musicie bowiem wiedzieć, że w czasach gdy

interesy szły bardzo dobrze, bracia Fauré kolekcjonowali dzieła sztuki i później też

otrzymywali katalogi i ogłoszenia od galerii albo domów aukcyjnych.

- Nie! - podskoczyła Nikola, jakby rażona piorunem. - Nie powie pan, że... Parillaud!

- Tak, moja droga. Kiedy czekał, aż przyniosą mu obiad do biura, Robert Fauré

przeglądał znudzony ostatni katalog galerii Parillauda i... O mały włos nie spadł z fotela!

- W takim razie chyba musiał być naprawdę głodny!

- Też coś! Faure przeczytał, że galeria wystawia na sprzedaż obraz zatytułowany

Dziewczyna w czerwonym czepku, który wcześniej należał do kolekcji Alberta Rastuviera.

Wtedy przypomniał sobie zdanie usłyszane niedawno w czasie kolacji.

- „Tajemnicę mojej Bryzy ze Wschodu zna tylko dziewczyna w czerwonym czepku” -

przeczytała dokładnie Nikola w swoim notesie.

- W tym momencie zdanie umierającego Rastuviera nabrało zupełnie nowego

znaczenia: stary perfumiarz ujawnił w momencie śmierci, gdzie ukrył tajną recepturę swego
najsłynniejszego produktu!

- Tak, oczywiście... I bracia Faure postanowili ją zdobyć za wszelką cenę -

podsumowała pani Jaśmina, przewracając oczami za ozdobnymi, starymi oprawkami
okularów.

- Taki był plan... Widzieli w tym swoje koło ratunkowe. Wznawiając produkcję Bryzy

ze Wschodu, mogli mieć pewność, że podbiją rynek perfum na całym świecie. Tego samego

dnia rozpoczęli błyskawiczną kampanię reklamową i zadzwonili do galerii Parillauda, aby

zakupić obraz. Tu jednak spotkał ich pech... Sekretarka Parillauda nawet nie chciała ich

słuchać. Kiedy Faure powiedział, że chce kupić część kolekcji Rastuviera, wyjaśniła, że

została już ona sprzedana w całości i że lada dzień wyleci do Japonii. Przedmiot sprzedany,

sprawa skończona, do widzenia. areszcie prawda!

- To musiał być dla nich cios! - powiedział, podgwizdując, Wiktor.

- Może pan to powtórzyć jeszcze raz, Cormolles... Tymczasem bracia Faure

upatrywali swojej szansy w tajnej recepturze. Musieli zdobyć obraz za wszelką cenę! I tutaj
pojawia się na scenie...

- Tancerz! - wykrzyknął Leon.

- Właśnie on, stary mistrz paryskich złodziei.

- Ale jak bracia Faure go poznali? - zapytała Nikola.

- To następny banalny zbieg okoliczności: wszyscy trzej mieli karnety do opery i miejsca obok siebie; poznali się w przerwach między jednym a drugim aktem.

W tym momencie Simon podrapał się po głowie.

- Jak do tej pory wszystko układało się po ich myśli... Ale dlaczego zabili Tancerza?

- Właśnie... Dlaczego? - podjął na nowo opowieść adwokat. - Odpowiedź na to pytanie tkwi w złej sytuacji finansowej braci Faure. Barnofsky postanowił przyjąć zlecenie, ale zażądał sporej kwoty.

- Tak, wiem. Blady Filip, jego stary przyjaciel, paser, opowiadał mi o tym -

potwierdził Wiktor. - Zdaje się, że Tancerz dał się wyrolować jakiemuś funduszowi inwestycyjnemu i stracił pieniądze na złej inwestycji. Tym ostatnim skokiem chciał sobie zapewnić spokojną emeryturę. Biedak... - zakończył listonosz z nutą goryczy w głosie.

- Właśnie tak. Mówiąc krótko: bracia Faure zdołali z trudem zebrać środki na zaliczkę dla Tancerza. Resztę miał dostać w momencie przekazania łupu.

- A zamiast tego wypłacili mu kulkę, prawda? - zapytał Leon.

Janvier rozłożył ręce.

- Julian Fauré przysięga, że to był wypadek. Obiecał zapłacić Tancerzowi z pierwszych wpływów z nowych perfum, ale tamten chciał nawet o tym słyszeć: nie ma pieniędzy, nie ma obrazu. Fauré zabrał jednak z sobą mały pistolet, aby nastraszyć nim Barnofsky'ego, jeśli się to okaże konieczne. Tyle że Tancerz nie miał zamiaru się przestraszyć... - Oczywiście - powiedziała Walentyna z zamkniętymi oczami, jakby wyobrażała sobie tę scenę.

- Wywiązała się szarpanina, w czasie której poprzewracali różne przedmioty, aż

rozległ się strzał.

- Puf! - zrobił Simon, który wczuł się w historię.

- Doskonała rekonstrukcja zdarzeń, pani Gaillard. Można tylko dodać do niej

oczywisty koniec: kiedy Julian

Fauré zobaczył, co się ilaraszcie prawda!

- stało, zgarnął obraz i zaczął szukać ukrytej formuły perfum Rastuviera. Pociął

płótno, wyjął je z ramy - i nic. Potem prawdopodobnie, kiedy trzymał w ręce samą ramę,

zauważył, że jest w niej specjalnie wbudowany fragment drewna. Znalazł to, czego szukał!

Nie mógł jednak ryzykować wyciągnięcia tego obok stygnącego ciała Tancerza na podłodze.

Wybiegł z ramą, ale podczas ucieczki nie zauważył, że zgubił złotą spinkę. Tę samą, którą

nasz bystry Simon znalazł na schodach.

- Bardziej nadepnął, niż znalazł - zaśmiała się Nikola.

Przez pokój przeszła rozluźniająca salwa śmiechu.

- Ma pan rację, mecenasie - powiedział Ludwik. - To historia o nadziejach, które

rozbiły się na kawałki, o rzeczach, które zostały zniszczone, jedna po drugiej... Bracia Fauré

desperacko szukali swojej szansy, a doprowadzili się tym do zguby... Tancerz, który chciał

odłożyć kapitał, żeby móc spokojnie żyć, a został zamordowany...

- Cóż, jeśli te perfumy są takie wspaniałe, to przynajmniej spadkobiercy braci Fauré

będą zadowoleni - zauważyła Walentyna.

- Niestety, muszę panią rozczarować... - odpowiedział Janvier. - To ostatni kawałek

mozaiki... pełen gorzkiej ironii: nikt nie wiedział, że Rastuvier na starość cierpiał na straszny

artretyzm, który sprawił, że nie mógł pisać. Na słynnym kawałku drewna z ramy obrazu są

tylko kreski zrobione atramentem, coś zupełnie nie do odczytania.

- Co za historia! - skomentował Leon, kiwając głową. Sala pograżyła się w ciszy.

Dopiero pani Jaśmina westchnęła głęboko i postanowiła ją przerwać.

- Cóż, po tak gorzkiej opowieści uważam, że należy skosztować czegoś słodkiego!

Wokół stołu dał się słyszeć szmer aprobaty. Pani Jaśmina zaczęła kroić swój słynny tort z kremem cytrynowym i nakładać go na talerzyki.

Jedynym, który czymś się niepokoił, był Simon. Spojrzał na stary zegar ścienny zawieszony w gabinecie Darbona i westchnął:

- Ja chyba tym razem podziękuję... Muszę iść do parku zobaczyć się z... przyjaciółmi.

Nikola, która już zaczęła zajadać swój kawałek, zaśmiała się głośno.

- A czy oni nie mają na imię Sandra?

Simon parsknął ze złością.

- Jednak mogę się spóźnić kilka minut, w sam raz zjem... - i wtedy poczuł, że ktoś kładzie mu na ramieniu rękę. To był mecenas Janvier.

- Simonie... Nie rób czegoś, czego możesz żałować, kiedy będziesz stary. Chwytaj chwilę, chłopcze! Jeśli przyjdiesz za późno, twoja piękna może już nie czekać na ciebie, a ty będziesz to sobie wypominał całe życie...

Słowa adwokata dały Simonowi do myślenia.

- Ferdynandzie... masz rację! Muszę iść... Nawet lecieć! Czeeeeść! - i w mgnieniu oka zniknął w kowąż. nareszcie prawda! minku, który skrywał sekretne przejście do mieszkania Darbona.

Janviera otoczyły spojrzenia pełne zdumienia i sympatii.

- Co za wspaniałe słowa, mecenasie! - powiedziała pani Jaśmina.

- Doprawdy... - potwierdziła Walentyna. - Nigdy bym nie pomyślała, że pan...

Ale adwokat przerwał im gestem, jakby się przed czymś opędzał.

- Czego chcecie... Jestem tylko starym, nieuleczalnym romantykiem! - w tej samej

chwili z ściągniętą kocią zwinnością przesunął do siebie niepilnowany przez nikogo kawałek tortu, który leżał przed pustym krzesłem Simona.

Pierdomenico Baccalario

Urodziłem się 6 marca 1974 roku w Acqui Terme, małym, ładnym miasteczku w Piemontie. Wychowywałem się wśród lasów, z trzema psami, czarnym rowerem i Andrea, który mieszkał pięć kilometrów pod górą od mojego domu. Zacząłem pisać w liceum: podczas niektórych szczególnie nudnych lekcji udawałem, że robię notatki, a tymczasem wymyślałem opowiadania. Tam też poznałem grupę przyjaciół, fanów gier fabularnych, z którymi wymyślałem i odkrywałem dziesiątki fantastycznych światów. Jestem trochę szczególnym, ale niezłym odkrywcą.

Gdy studiowałem prawo na uniwersytecie, zdobyłem nagrodę wydawnictwa Battello a Vapore za powieść Droga wojownika i był to jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu. Od tamtego czasu zacząłem pisać powieści. Po ukończeniu studiów pracowałem dla muzeów i przy projektach związanych z kulturą, starając się sprawić, żeby nawet stare, zakurzone przedmioty opowiadały interesujące historie. Podróżowałem i poszerzałem horyzonty: Celle Ligure, Piza, Rzym, Werona. Uwielbiam odkrywać różne sposoby na życie i odwiedzać nowe miejsca - chociaż potem wracam w końcu zawsze do tych samych.

Mam jedno takie specjalne miejsce. Jest to drzewo w dolinie Val di Susa, skąd widać wspaniały krajobraz. Jeżeli lubicie wędrować tak jak ja, powiem wam, jak tam dotrzeć. Tylko żeby to zostało między nami.

Alessandro Gatti

Urodziłem się w 1975 roku w Aleksandrii, nie, nie tej w Egipcie - tej w Piemontie. Stało się tak zresztą przez przypadek, ponieważ od razu zamieszkałem w małym miasteczku opodal Asti, które ma w nazwie pięć „a”: Calamandrana. Kto wie, być może dlatego nabrałem

wstrętu do „a” i dlatego od kilku lat mieszkam głównie w Turynie, który nie ma ani jednego „a”.

Teraz moja historia. Gdy byłem mały, chciałem być odkrywcą, ale byłem też bardzo leniwy. Na szczęście mieszkalem w starym domu pełnym szaf z tajemniczymi szufladami, dzięki czemu mogłem wiele odkrywać, niewiele się przy tym męcząc. W tych szufladach znalazłem mnóstwo ciekawych rzeczy: ołowiane żołnierzyki, monety z dalekich stron, pocztówki z krajów, które już nie istniały, rzeźbione fajki, stare fotografie szczęśliwych ludzi, stare fotografie ludzi nieszczęśliwych... Krótko mówiąc, mnóstwo przedmiotów, które zdawały się mieć swoją historię. Historię, której nie znałem, ale którą mogłem sobie wyobrazić i mieć dzięki temu jeszcze lepszą zabawę. Założę się, że już wiecie, do czego zmierzam: próbując wymyślać te historie, zacząłem pisać... i już nie przestałem, nawet kiedy zabrakło rupieci na dnie szuflad.

Marceli to poczciwy nieudacznik, człowiek, który nie skrzywdziłby nawet muchy.

Dlaczego więc zostaje oskarżony o podwójne morderstwo? A na dodatek ktoś próbuje go zabić? I jaką rolę w tej historii odgrywa... tajemnicza hrabina?

Tak zawikłaną zagadkę mogą rozwiązać tylko detektywi z załka Woltera!

Nikola i Simon na tropach prawdziwej tajemnicy: legendarny Mag Offenbach, niekwestionowany król iluzjonistów, jest u kresu życia. Został napadnięty podczas kongresu największych magików świata! Jediną wskazówką jest tajemniczy mężczyzna we fraku, którego widziano na miejscu zbrodni. Czyżby to on był winny napaści?

Tak zawikłaną zagadkę mogą rozwiązać tylko detektywi z załka Woltera!

Wszystkich fanów serii „Na tropie sensacji” zachęcamy do odwiedzenia strony

www.natropiesensacji.pl

Już od września na stronie www.natropiesensacji.pl odbywać się będą konkursy

związane z premierą najnowszej części „Na tropie sensacji” pt. Skradziony obraz.

www.natropiesensacji.pl

Masz talent pisarski? Chciałbyś pisać książki kryminalne? A może masz

ponadprzeciętną wyobraźnię i tworzenie wciągających historii nie sprawia Ci najmniejszego problemu? Jeśli na którekolwiek z pytań odpowiedziałeś twierdząco, śledź naszą stronę! Od 3 września zaczynamy kolejną serię niesamowitych konkursów! Co tydzień na stronie będzie pojawiał się początek sensacyjnej historii kryminalnej. Twoim zadaniem będzie dokończenie wątku kryminalnego.

Osoba, która napisze najciekawsze zakończenie otrzyma w nagrodę zestaw książek od

Wydawnictwa Zielona Sowa, ale... nie tylko! W grudniu zbierzemy najciekawsze historie i...

wydamy je w formie ebooka, który będzie dostępny w księgarni www.zielonasowa.pl oraz u

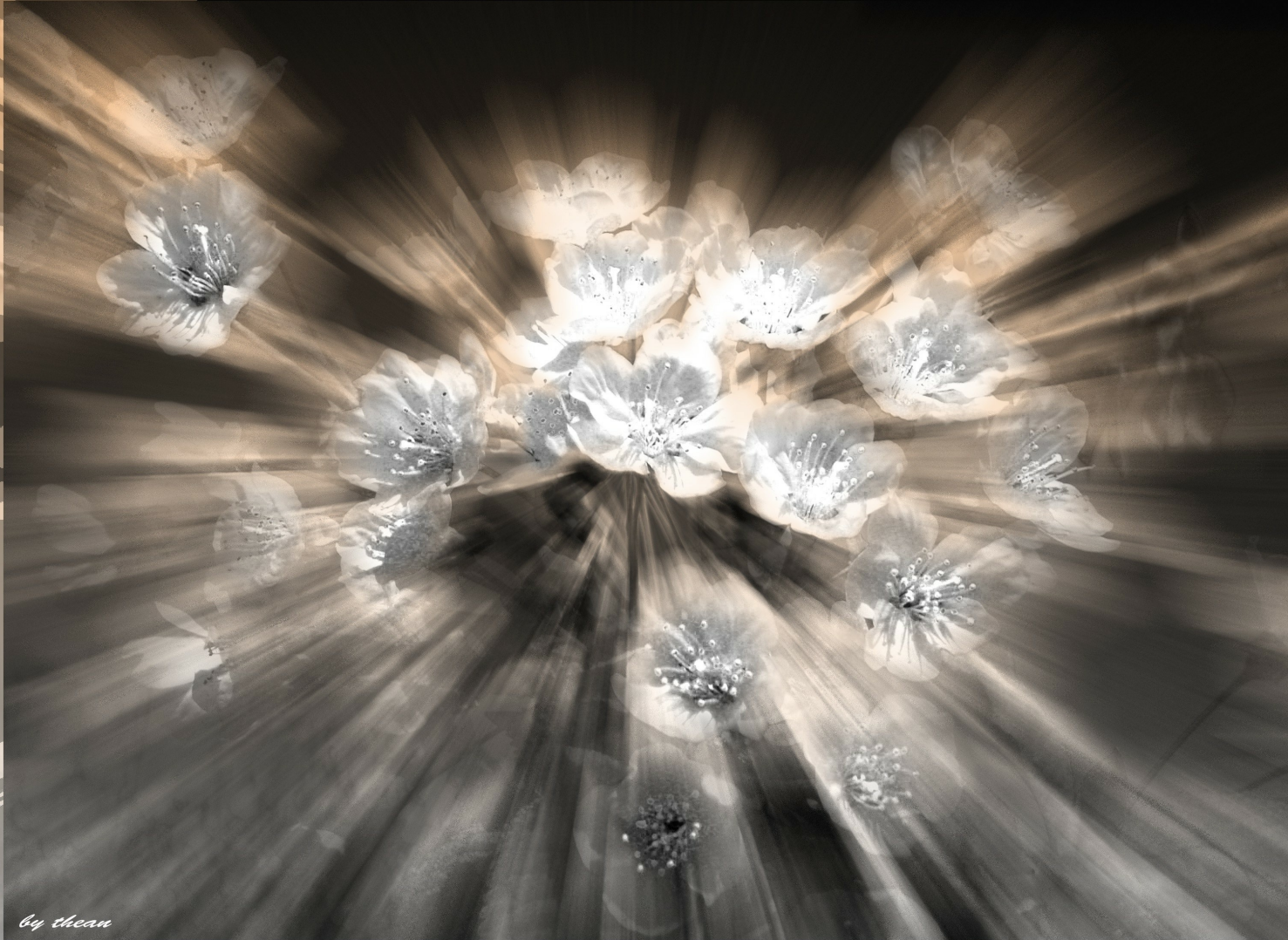
naszych partnerów! Jest o co walczyć! Poza konkursami na stronie www.natropiesensacji.pl

znajdziesz również wiele ciekawych porad jak pisać książki kryminalne (zdradzimy kilka

ciekawych sekretów) oraz wiele intrygujących historii kryminalnych.

www.natropiesensacji.pl

Kieliszek trucizny



by chean